Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 12

Nowe zdobycze polonistyki

Życie polskie po odzyskaniu niepodległości nie potoczyło się tak, jak wyobrażaliśmy sobie niegdyś w snach młodzieńczych. Fakt ten daje się boleśnie odczuć także w dziedzinie kulturalnej. A jednak są w niej zadatki lepszej przyszłości.

Za okoliczność dodatnią uważam, że stosunek historji literatury do poezji romantycznej może dziś ułożyć się i rzeczywiście układa na podstawie badań ściśle rzeczowych i oceny rzeczowej. W czasach niewoli była ona świętością i panowało pewne skrępowanie krytycyzmu, pewna petryfikacja pojęć. Kto wyszedł poza krąg przyjętych powszechnie poglądów, spotykał się z ostrą reakcją.

Przypominam sobie oburzenie, jakie wywołała praca ś. p. prof. Józefa Tretiaka o Słowackim i jej nagrodzenie przez Akademję Umiejetności. Sam należałem do tych, którzy odczuli ją jako złośliwe burzenie ideału i dałem temu wyraz w publicznym odczycie. I dziś jeszcze nie zgadzam się na myśl przewodnią książki, ale nauczyłem się cenić szereg jej rzetelnych zalet, a przedewszystkiem doszedłem do przekonania, że na miejscu była raczej polemika, niż okrzyki „Świętości nie szargać!"

Poezja romantyczna była potężnym okrzykiem bolu patrjotycznego, była łukiem napiętym do ostatnich granic możliwości, a mierzącym w pierś zaborców, była słupem ognistym, wiodącym naród do wolności. Z chwilą uzyskania wolności możemy już wielkich romantyków traktować, jak wszelkich innych poetów.

A więc odbronzowianie?

I tak, i nie. Ktoby umyślnie chciał wielkie posągi ściągać z piedestału i dążył do tego celu przez przesadzanie osobistych słabostek lub usterek w twórczości a czynił to dla sensacji, dla popisania się swą śmiałością krytyczną czy dla wyolbrzymienia wartości własnych czasów, zasługuje na surowe potępienie. Wolno jednak i trzeba z odpowiednim szacunkiem ustalać prawdę i do dzieł największych nawet przykładać skalpel krytyczny — ostry, byle nie zatruty. I niewątpliwie są tacy, którzy to czynią.

ZYGMUNT WASILEWSKI O NORWIDZIE.

Cyprjan Norwid miał sławę arcypoety. Zawdzięczał ją, jak Słowacki, nie współczesnym, którzy go nie czytali, a o ile czytali, nie cenili, ale krytykom późniejszym. Lecz gdy Małecki zwrócił uwagę na Słowackiego, zaczęto go czytać. Wielkość Norwida przyjęto przeważnie na odpowiedzialność krytyków, którzy ją podali do wierzenia.

Przed kilku miesiącami nastąpiła reakcja — w formie szkicu prof. Piniego w wydaniu Bibljoteki Poetów Polskich. Jak na tem miejscu stwierdzono, p. Pini posunął się w tem odbronzowieniu stanowczo za daleko, gdyż przystąpił do niego z wyraźnem uprzedzeniem.

A przecie sąd pierwotny o Norwidzie, długo utrzymujący się dzięki szeregowi krytyków, a nie oparty na powszechnej znajomości dzieł poety, wymaga rewizji. Tylko do rewizji należało przystąpić z sympatją i spokojem krytycznym.

Oba te warunki posiada p. Zygmunt Wasilewski [1]), który wziął za punkt wyjścia życie Norwida, przedewszystkiem w okresie warszawskim, szukając tu rozwiązania szeregu problemów. Książka nie przynosi zupełnego życiorysu, ani analizy całej twórczości. Nie to było zadanie, jakie postawił sobie autor. Szło mu o zasadnicze pierwiastki charakteru, temperamentu i organizacji artystycznej. Słusznie szukał ich w młodości poety. Napisał jakgdyby prolegomena do monografji — i to prolegomena bardzo cenne, zarówno pod względem negatywnym, jak i pozytywnym.

A więc uprzątnął p. Wasilewski z drogi przyszłego monografa dużo gruzu omyłek i nieporozumień. Norwid cierpiał na słabość wywodzenia swego rodu od Normanów i od — królów. Gruntowne badania p. Wasilewskiego burzą ten sztuczny gmach, przynosząc cały szereg dokładnych danych o rodzie i krewnych poety, którego badania, prowadzone w czasie, gdy miał posadę w biurze Heroldji, musiały doprowadzić do przekonania, że jego krewni Sobiescy nie mieli nic wspólnego z Janem III.

Rozwiewa dalej p. Wasilewski legendę, jakoby Norwid wyjechał zagranicę, zrażony chłodnem przyjęciem swych pierwszych utworów. Było zupełnie przeciwnie. W ówczesnej Warszawie, bardzo jeszcze ubogiej pod względem literackim, zachwycano się niemi i młodocianego Norwida traktowano, jak genjusza. Mamy na to szereg dowodów, przedewszystkiem wiersz Antoniego Czajkowskiego, który cieszył się tam sławą największego poety z początkiem piątego dziesiątka w. XIX.

Niezwykle cenne są wiadomości o Janie, ojcu Cyprjana, przedewszystkiem o jego zamiłowaniu do szarad, logogryfów i łamigłówek. W świetle dziedziczności musimy w niejednym poety utworze widzieć nie brak zdolności jasnego wypowiedzenia się, lecz umyślne ujęcie myśli w formę zagadki. Analiza paru utworów, w których p. Wasilewski odstępuje od interpretacji p. Przesmyckiego lub prof. Cywińskiego, wybornie ilustruje tę teorję.

Genezę poglądu Norwida na świat upatruje autor we współczesnej filozofji niemieckiej. „Faktem, od początku charakteryzującym Norwida, jest rozszczepienie dualistyczne." Wszystko, co ziemskie, jest jednak podrzędne i nielstotne, może tylko jest symbolem zewnętrznym prawdziwego świata, duchowego. Ten stosunek do świata znalazł odbicie w twórczości poety. Stąd brak jej było pierwiastka czynu i silnego uczucia. Nie mogła też znaleźć oddźwięku w społeczeństwie. „Artysta obcuje z ogółem na zasadach kongenjalności... Brak popularności (przy dużym artyzmie) dowodzi braków w budowie psychicznej artysty". Norwid odpychał współczesnych nie tylko niezrozumiałością, ale i chłodem.

[1]) Norwid. Warszawa 1935. Skład główny w Administracji „Myśli Narodowej".

I nie musiała jego twórczość potoczyć się tym właśnie torem. Pośród pierwszych jego poezyj nie brak dowodów, że mógł wybrać i inny. Kochał wieś mazowiecką i próbował bardzo szczęśliwie motywów ludowych. Lecz wzgardził niemi, uważając się za powołanego do większych rzeczy.



C. Norwid: Autoportret.

Nie mam tu miejsca na szczegółowe streszczanie poglądów p. Wasilewskiego. Wystarczy stwierdzić, że tworzą one podstawę do nowego ujęcia postaci i poezji Norwida. Pozatem mamy tu cały szereg rysów obyczajowych i wiadomości o wielu współczesnych poety. Plastycznie rysuje się literacki świat Warszawy, początki cyganerji, salony Deotymy, dumna a złowroga dla Norwida postać Marji Kalergis i t. d

SŁOWACKI A ROMANTYZM FRANCUSKI.

Przypomni sobie każdy, kto przeszedł szkołę średnią, czy to w b. Galicji, czy już w Polsce niepodległej, czego uczono go o pierwszym okresie Słowackiego. Deklinowano przez wszystkie przypadki nazwisko Byrona — spowodu „Jana Bieleckiego", „Huga", „Mnicha", „Araba". Krytycy suggestjonowali jedni drugich, a zwiedzeni pozorami, nie spostrzegali, że między „Arabem", a tamtemi utworami istnieje zasadnicza różnica. Bohaterowie Byrona popełniają zbrodnie — z zemsty lub w pewnych konkretnych. celach. Są pokłóceni ze światem, ale wszechobejmującej nienawiści do świata żaden z nich nie żywi, złych czynów dla samego złego żaden nie kocha; w pewnych momentach zdobywają się na szlachetność i poświęcenie. Tymczasem bohater „Araba" jest wrogiem życia i cztery jego zbrodnie mają charakter bezinteresownego jakby, żadną osobistą pobudką niedyktowanego okrucieństwa. Tę psychologję Słowacki wziął nie z Byrona, lecz z „René'go" Chateaubriand'a.

Gdy czytamy wywody prof. Władysława Folkierskiego[1]), odnosimy wrażenie iż rzecz jest bardzo prosta. Niektórzy krytycy byli na dobrym tropie. Lecz „do jadra gęstwiny" żaden z nich nie doszedł. Udało się to dopiero badaczowi, który zużytkował swoją gruntowną znajomość literatury francuskiej, a równocześnie gruntownie zgłębił cały materjał pism i korespondencyj Słowackiego i literaturę przedmiotu.

[1]) Od Chateaubrianda do Anhellego. Rzecz o związkach między przedmistycznym okresem Słowackiego, a romantyzmem francuskim. Kraków 1934, nakł. Polskiej Akademji Umiej.

Lecz studjum rozwinęło się w coś szerszego, zaznaczonego w podtytule, który właściwie powinien być tytułem. Rozdział drugi części, poświęconej Chateaubriand'owi, nosi tytuł „Trzy Amelje". Dowiadujemy się, jakie odbicie w twórczości autora „Atali" znalazło jego nieszczęsne uczucie, do siostry Lucile, niewinne zresztą pendant do kazirodztwa Byrona, obecnie po ogłoszeniu korespondencji, którą wolno było wydać dopiero w sto lat po zgonie tego drugiego poety, stwierdzonego przed wszelką wątpliwość i wyjaśniającego jego twórczość zupełnie inaczej, niż ją tradycyjnie wyjaśniano.

Słowacki był twórcą typowo literackim. Świadomie zapożyczał motywy u innych poetów, aby rozwijać je samoistnie. Pary Szczęsny i Amelja w „Horsztyńskim", Zbigniew i Amelja w „Mazepie" zawdzięczają swe powstanie parze „René i Aurelia w René'm i „Natchezach" Chateaubriand'a. Nie jest to zależność niewolnicza, owszem Słowacki traktuje motyw subtelniej i z większym artyzmem, a równocześnie samoistnie. Lecz pochodzenie udowadnia prof. Folkierski tak przekonywująco, że trudno mieć wątpliwości. W tym wypadku miał zresztą poprzedników, ale pierwszy postawił sprawę jasno i ustalił wszelkie konsekwencje. Starannie wyszukuje następnie ślady wpływu Chateaubriand'a, już mniej ważne, ale niezaprzeczone, w „Podróży na wschód", „Grobie Agamemnona" i w „Beniowskim".

Druga część pracy poświęcona jest Wiktorowi Hugo, który swoją estetykę sformułował w r. 1827, a więc w czasie, gdy Słowacki właśnie zaczynał pisać, w przedmowie do „Cromwella". Stąd to Słowacki wziął pociąg do groteski, której jako kontrastu do wzniosłości i eteryczności używa — zresztą niefortunnie — w „Wacławie", „Poemacie Piasta Dantyszka" i „Beatryks Cenci" (może tu zbyt surowo ocenionej). Uderzające są analogie między „Hanem z Islandji", a „Piastem Dantyszkiem". Liryki Wiktora Hugo znalazły niejedno echo w „Przygotowaniu" „Kordjana", jeden z nich był zapewne źródłem pomysłu, zresztą znowu zupełnie oryginalnie ujętego.

Wpływ techniki teatralnej Huga na „Mazepę" jest dawno stwierdzony, jak pożyczka z „La Gran Bretęche" Balzac'a w epizodzie zamurowania pazia). Lecz prof. Folkierski słusznie rozszerza wpływ ten na inne utwory i wykazuje drobniejsze pożyczki. Najdonioślejszem zapewne spostrzeżeniem jest wykazanie, że trzykrotne ocalenie Derwida przez Lillę, nawiasem mówiąc psujące akcję i uniemożliwiające jej prawidłowy rozwój, odpowiada trzykrotnemu ocaleniu kochanka przez Marion Delorme (również bezowocnemu).

Nie mogę tu już poświęcić więcej miejsca trzeciej części, zatytułowanej „Krąg Alfreda de Vigny". Etapami wpływu są „Helena" i „Lambro", „Paris" i „Paryż", wreszcie „Eloa" i „Anhelli". W tym trzecim wypadku krytyka polska dawno przeprowadziła analizę, ale prof. Folkierski umie niejedno sprostować i dorzucić.

Tkwi nam wszystkim jeszcze w pamięci kampanja Boya i innych przeciw „wpływologji". Ma ona swoje złe i śmieszne strony, gdy krytycy popadają w drobiazgowe dociekania i szukają impulsu twórczego w literaturze tam, gdzie to jest niepotrzebne, bo idzie o coś wspólnego całej epoce czy łatwo dającego znaleźć się w życiu danego pisarza. Lecz zaniechać studjów nad oddziaływaniem wzajemnem twórców dlatego, że ktoś czasem nadużywa tej metody, byłoby równą śmiesznością, jak jej nadużywać. A przy twórczości takich typowo literackich poetów, jak Słowacki (a u obcych n. p. Milton) byłoby to poprostu wyrzeczeniem się możności jej zanalizowania. Książka prof. Folkierskiego jest doskonałym dowodem i poważnie wzbogaciła naszą literaturę krytyczna

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Warszawski wielbiciel antyku

Szersze warstwy naszego społeczeństwa zdają sobie naogół sprawę z tego, ile kultura europejska, a więc i polska, zawdzięcza kulturze klasycznej. Aby to zrozumienie antyku, jako podłoża kultury współczesnej ugruntować w narodzie, stara się o to gorliwie spory zastęp propagatorów znajomości świata starożytnego.

W ich szeregach stoi oddawna **Stefan Cybulski,** działający stale w Warszawie od grudnia 1919 r., od powrotu do niepodległej Ojczyzny, jako jeden z najbardziej niestrudzonych krzewicieli umiłowania antyku.

Jest on kresowcem. Urodził się 20. czerwca 1858 na Podolu rosyjskiem, z rodziny ziemiańskiej. Ukończywszy chlubnie gimnazjum w Niemirowie w r. 1879, pokonał szczęśliwie opór ojca przeciwko zamiarowi jego poświęcenia się studjom klasycznym, do których zapalił się w ciągu nauki szkolnej. Uzyskał także od władz pozwolenie na odbycie studjów w Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale historyczno - filologicznym.

Ukończył je w r. 1883 ze stopniem kandydata nauk historyczno - filologicznych. Wykształcenie swe uzupełniał podróżami i studjami zagranicą. Owocem tych podróży były prace o topografji Aten i Rzymu, nadto z dziedziny rzeźby i numizmatyki starożytnej.

Bezpośrednio po ukończeniu studjów 1. sierpnia 1883 otrzymał posadę rządową nauczyciela języków klasycznych w IV. gimnazjum w Warszawie (obecnie żeńskie Król. Jadwigi). Dla ożywienia nauki posługiwał się od początku rysunkami i rycinami. To dało początek znanym powszechnie. Tablicom starożytności, które wyszły z rysunków ucznia kl. VII. Gembarzewskiego, obecnie generała W. P., dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie. Już jako nauczyciel gimnazjum IV., Cybulski rozpoczął wydawnictwo tych tablic: **Tabulae quibus antiquitates Graecae et Romanae illustrantur. Edidit Stephanus Cybulski.** W ciągu trzech lat doprowadził do dwunastu tablic. Ukończenia cyklu i powtórzenia tablic poprzednio wydanych podjęła się firma w Lipsku K. F. Koehler. Do współpracy powołał Cybulski znakomite siły naukowe. Tablic jest XXIII; niektóre pojawiły się już w IV wydaniu. Do tablic dodał teksty objaśniające w językach: polskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i włoskim .Tablice zdobyły nagrody na wystawach światowych i zostały wprowadzone w szkołach w Europie i w Ameryce.

Narodowość polska i popularność, jaką zyskał Cybulski wśród uczniów, były powodem przeniesienia go w r. 1890 do Carskiego Sioła, a wnet potem do Petersburga, gdzie z równym zapałem i gorliwością rozwijał szeroką działalność jako nauczyciel, kochający przedmiot swój i młodzież. W sierpniu 1907 mianowano go dyrektorem gimnazjum męskiego przy kościele św. Katarzyny. Na tem stanowisku wytrwał do 15 sierpnia 1919 r.

Utrzymywał łączność ze szkolnictwem zagranicznem, interesował się nowemi prądami, wnosił sam do pracy szkolnej wiele idej nowych i żywych. Opracował ankietę z 22 pytań w sprawach szkolnych i zwrócił się z nią do wybitnych pedagogów wszystkich państw europejskich (od Szwecji do Turcji). Wyniki jej ogłosił w rosyjskiem piśmie ministerjalnem (Petersburg 1906). Wrażeniami z podróży, hospitacyj, zjazdów, dzielił się zawsze z szerszą publicznością, zamieszczając sprawozdania w pismach rosyjskich i polskich, wychodzących w Petersburgu. W r. 1907 założył pismo popularno - naukowe, dwutygodnik w jęz. rosyjskim, p. t.: Hermes i wraz z prof. Uniw. Petersburskiego, A. Maleynem redagował je aż do 15. sierpnia 1919, gdy musiał z dawnej stolicy Rosji ustąpić. Z tą chwilą pismo to przestało istnieć.

W swej podziwu godnej pracowitości, ułożył szereg podręczników i komentarzy do autorów starożytnych, aby ulepszyć metodę i ułatwić pracę uczniom, a tem samem obudzić w nich większe zainteresowanie i zamiłowanie do języków antycznych.

Obok filologji klasycznej z zamiłowaniem poświęcał się muzyce. Szczególnie zajmował się muzyką i śpiewem kościelnym i z tej dziedziny ogłosił szereg artykułów w pismach rosyjskich i polskich, oraz oddzielnie drukowanych prac (wyszły drukiem w Płocku i Petersburgu).

Ponadto próbował sił na polu literackiem już jako student Uniwersytetu Warszawskiego. Zamieścił wtedy kilka artykułów w „Echu" i „Gazecie Warszawskiej". Potem pisywał też drobne utwory sceniczne, dążąc w nich do poprawy mowy polskiej na Kresach.

W grudniu 1919 powrócił do wolnej już Ojczyzny i odtad z niesłabnącą energją i zapałem pracuje dla dobra szkoły, młodzieży ukochanej i nad rozszerzaniem i ugruntowaniem w społeczeństwie polskiem znajomości kultury klasycznej. W styczniu 1920 r. objął stanowisko współpracownika Wydziału Programowego Min. W. R. i O. P. jako radca ministerjalny, a od r. 1924 minister. wizytator szkół średnich. Pod jego kierunkiem opracowano program nauczania języków klasycznych w gimnazjum klas. i humanistycznem. Wówczas opracował także wskazówki metodyczne do nauczania filologji klasycznej, wydane przez Ministerstwo W. R. i O. P. Dzięki jego staraniom powstało jedyne w Warszawie gimnazjum klasyczne im. T. Rejtana. W Wydziale Programowym tegoż Ministerstwa pracuje nadal, choć z dniem 1. stycznia 1927 przeszedł na emeryturę.

Od r. 1921 do 1923 prowadził lektorat języka greckiego na Uniwersytecie Warszawskim, a w r. 1922 objął zlecone wykłady starożytności greckich i rzymskich, a ponadto od r. 1927 prowadzi zlecone wykłady dydaktyki i metodyki filologji klasycznej w U. W. Od września 1930 r. pracuje znów na stanowisku dyrektora T. W. O. „Przyszłość".

W szeregu artykułów i rozpraw, ogłaszanych w czasopismach fachowych, jak Przegląd Pedagogiczny, Humanistyczny, Kwartalnik Klasyczny, Miesięcznik katechetyczny i wychowawczy i i., rozwija i uzasadnia swoje plany i dążenia w dziedzinie nauczania łaciny w gimnazjum humanistycznem. Pisze w dalszym ciągu artykuły o muzyce kościelnej (Kurjer Warszawski, miesięcznik chorwacki Św. Ceci i ja) i wydaje osobne prace pt.: „Na bożeństwo żałobne" (Warszawa 1920), oraz „Poezja łacińska w pieśni" (Warszawa 1924). Nadto ułożył podręcznik do nauki języka łacińskiego (dwa opracowania, z r. 1922 i 1928). Wreszcie rozpoczął wydawnictwo tablic: „Bogowie i ludzie w sztuce greckiej i rzymskiej", z tekstem objaśniającym w opracowaniu prof. dr. K. Michałowskiego. Dotąd ukazały się cztery zeszyty: I. Zeus - Jowisz; II. Hera - Juno; III. Athena - Minerva; IV. Apollon.

Osobna chlubna karta w działalności Cybulskiego. to praca nad podniesieniem poziomu znajomości kultury i piękna antycznego przez organizowanie wieczorów i przedstawień klasycznych. W ciągu swej półwiekowej przeszło działalności w szkole wystawił kilka tragedyj starożytnych w tem Sofoklesa: Antygonę i Króla Edypa w języku greckim, dalej **Eurypidesa: Ifigenję w Aulidzie, Felicianki,** oraz Arystofanesa Ptaki, nadto Kochanowskiego: Odprawę posłów greckich — wszystkie z ilustracją muzyczną. Urządził też wieczór poezji łacińskiej i francuskiej w pieśni, oraz koncert religijny. Brał też udział w II. zjeździe klasycznych filologów : krajów słowiańskich w Pradze 1931, gdzie miał referat z zakresu inscenizowania tragedyj starożytnych. Przy wielu obowiązkach starał się zawsze o wzbogacenie naszej literatury pedagogicznej.

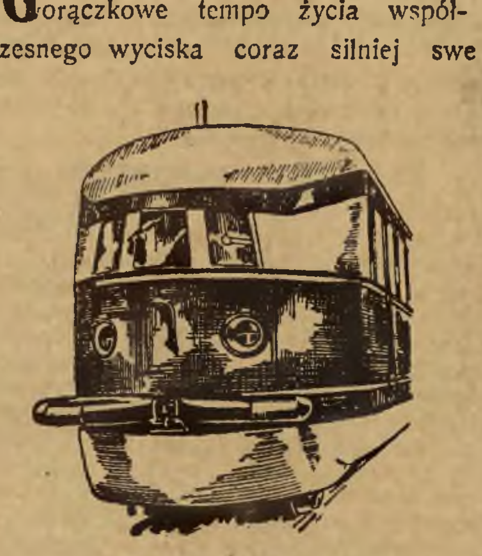
Za tę gorliwą pracę około podniesienia znajomości kultury klasycznej, oraz poziomu kultury muzycznej w szkołach, otrzymał w kwietniu 1930 r., złoty krzyż zasługi. Nadto pozwolono mu na przyjęcie i noszenie Krzyża Kawalerskiego Papieskiego orderu św. Sylwestra.

Osobno omówić należy jego działalność w Polskiem Tow. Filologicznem. Wraz z prof. dr. Gustawem Przychockim przyczynił się do założenia Koła P. T. F. w Warszawie i był pierwszym jego prezesem. W pracach Twa, w zjazdach filologicznych bierze czynny udział jako jeden z najgorliwszych członków, mimo, że w bieżącym roku ukończy 77 lat niestrudzonego życia, wygłasza odczyty, dzieli się razem swem doświadczeniem z zebranymi, ogłasza artykuły w Kwartalniku Klasycznym, organie P. T. F. Za tę pełną zapału i energji, działalność na różnych polach spotyka go uznanie ze wszystkich stron. Polskie Towarzystwo Filologiczne uczciło go, mianując go na Walnem Zgromadzeniu we Lwowie w maju 1934 r., swym członkiem honorowym i poświęcając mu Kwartalnik Klasyczny 1934 zeszyt 4, ozdobiony jego podobizną i artykułem sekretarki Warszawskiego Koła PTF., p. dr. Lidji Winniczukównej o jego działalności naukowej i wychowawczej, obfitej w plony bogate w ciągu pięćdziesięciu przeszło lat pracy pedagogicznej i prawie półwiekowej w dziedzinie nauki. W pracy tej wcale nie ustaje, mimo sędziwego wieku, zawsze pełen zapału, inicjatywy i energji, służy chętnie radą i wskazówkami młodym filologom. Nadąża za nowemi prądami i jest ich gorliwym propagatorem, bo czuje się zawsze młodym. A zapał ów i siły młodzieńcze zawdzięcza, jak sam powiada: „z jednej strony ciągłemu obcowaniu ze światem antycznym, światem piękna i prawdy, z drugiej strony obcowaniu z młodzieżą, której życie poświęcił".

espe.

Pod znakiem aerodynamiki

Gorączkowe tempo życia współczesnego wyciska coraz silniej swe



„Der fliegende Hamburger".

piętno na naszych środkach komunikacyjnych, które przechodzą powolną, stopniową, ale nieustanną ewolucję.

Ogarnął nas istny szał szybkości, szał rekordów. Konstruujemy samochody, samoloty, marzą się loty stratosferyczne, podróże międzyplanetarne... Wszystkie te środki komunikacyjne są dostępne niewielkiej tylko stosunkowo ilości osób; „szary człowiek" podróżuje nadal koleją, będącą zawsze jeszcze najtańszym stosunkowo i najpopularniejszym środkiem lokomocji.

Ale i koleje przechodzą okres kryzysu. I one muszą iść z postępem czasu, modernizować się, o ile mają wyjść zwycięsko z walki konkurencyjnej z samochodami, autobusami, czy samolotami. Zagadnienie streszcza się w tem, by przy zwiększeniu szybkości zredukować możliwie koszty materjału pędnego i obsługi.

Chcąc zwiększyć szybkość, trzeba starać się o zmniejszenie oporu powietrza, równolegle wzrastającego. Usuwa się tedy z maszyny wysokie kominy, osłania się całą maszynę rodzajem jednolitego stalowego pancerza, pod którym ukryte są koła, rury, tłoki, wszelkie części wystające. Maszyna taka, o profilu „aerodynamicznym" podobną się staje do jakiegoś olbrzymiego pocisku czy do „pancerki" o spadzistych linjach.

Maszyny tego typu kursują już na niektórych linjach kolejowych w Ameryce i w Anglji.

Nie na tem jednak koniec. W konstrukcji uwzględniać się musi nie samą tylko maszynę, lecz całość pociągu. Stwierdzoną bowiem jest rzeczą, że podczas biegu pociągu w przerwach między poszczególnemi wagonami wytwarzają się silne wiry powietrzne, co powoduje silniejszy opór powietrza. Dlatego konstruktorzy amerykańscy przechodzą do typu całych pociągów „aerodynamicznych", składających się z maszyny i kilku wagonów, tak ściśle ze sobą połączonych, że tworzą jedną całość. Pociąg taki wygląda jak jedna olbrzymia zamknięta rura stalowa, jak jakiś potworny pocisk, prujący powietrze.

*

Teoretycznie problem „aerodynamicznych pociągów" jest już właściwie rozwiązany. Ma on jednak swoje ciemne strony, występujące jaskrawiej w Europie niż w Ameryce północnej. Idzie tu przedewszystkiem o zapewnienie podróżnym należytego bezpieczeństwa, na co w Ameryce nie zwraca się tyle uwagi co u nas.

Im większa szybkość pociągu, tem dłuższego czasu wymaga jego zahamowanie. Jak dziś rzeczy stoją, pociąg



Prawdziwy gigantyczny pocisk stalowy przypomina ten ekspress amerykański...

zahamować można na przestrzeni 600 do 700 metrów od semafora, — co przy znacznie zwiększonej szybkości byłoby niemożliwem. Trzebaby zatem przebudować zupełnie cały istniejący system sygnałów, - względnie zaopatrzyć pociągi w znacznie silniejsze hamulce, — co oczywiście pociągnęłoby za sobą ogromne koszty.

Trzebaby dalej na licznych linjach przebudować zupełnie tory kolejowe, wymienić częściowo szyny, złagodzić zbyt silne zakręty itp., co znów przedstawia duży wydatek.

Nie można też zapominać o trudnościach w należytej konserwacji podobnych pociągów „aerodynamicznych", gdzie wszystkie części maszyny ukryte są pod grubą stalową maską. O ileż więcej czasu straci mechanik przy tej robocie, która przecież musi być często i bardzo starannie wykonywaną!



Nowoczesny parowóz amerykański, pokryty w całości stalą.

Z tych powodów nie można przewidywać, aby pociągi aerodynamiczne weszły w najbliższym czasie w powszechne użycie.

Natomiast przyjmuje się coraz bardziej nowy typ małych, szybkich pociągów, w guście słynnego „Fliegender Hamburger". Pociąg ten składa się z dwóch wozów, ściśle ze sobą spojonych tak, że tworzą one jedną całość, o ile idzie o pokonanie oporu powietrza. Mierzy ogółem 42 metry i może pomieścić 102 podróżnych, — a rozwija szybkość 160 kilometrów na godzinę.

Podobne pociągi kursują też w Holandji, we Francji, we Włoszech, w Anglji. Amerykanie poszli dalej: kursują tam pociągi złożone z trzech wozów, ogólnej długości 70 metrów, a rozwijające szybkość 180 klm./godz.

Wreszcie wspomnieć trzeba o wagonach motorowych typu „Micheline" (francuskie) i „Littorina" (włoskie), stanowiących dziś idealny niemal środek komunikacyjny, zwłaszcza na krót kich odcinkach. Motorówki takie, urządzone z całym komfortem, idą bardzo szybko, zatrzymując się tylko na węzłowych stacjach i umożliwiają mieszkańcom wielkich miast, krótkie jednodniowe wycieczki do miejsc klimatycznych, kąpielowych itp.

Wszystko wskazuje na to, że przyszłość należy właśnie do tych „motorówek" czy „torped" kolejowych. Nie wymagają one dużej obsługi, odpada kłopot zestawiania całego garnituru pociągu, długiego manewrowania na stacjach, zmniejszają się wydatnie koszty konserwacji. Nie wyrugują one naturalnie normalnych pociągów, kursujących na magistralach i linjach międzynarodowych; — w komunikacji jednak podmiejskiej oddają ogromne usługi, konkurując skutecznie z najgroźniejszym wrogiem kolei: autobusem.

(Kr.)

O rewizję tekstów muzycznych

Postęp, jaki obserwujemy nieustannie w każdej niemal dziedzinie naszego życia cywilizowanego, nasuwa nam spostrzeżenia, że w porównaniu do innych gałęzi kultury i sztuki, sprawa tekstów muzyki wokalnej, a zwłaszcza tłómaczonych z innych języków, nie znajduje się dotychczas na właściwym poziomie. Pod względem wartości, teksty przełożone na język polski, w większości wypadków nie mogą równać się nawet z utworami wokalnemi, których są częścią integralną.

Jak dawniej, tak i teraz mało zważamy na to, jakie słowa śpiewają soliści lub chóry i koncentrując całą uwagę na części muzycznej utworu, do śpiewanego tekstu odnosimy się z zupełną obojętnością, nie stawiając w tym względzie zbyt wielkich wymagań.

Sławne są przecież niektóre wyjątki z oper tłómaczonych na język polski, obfitujące w różne nonsensy i błędy tekstowe. Słuchamy tych nonsensów po dziś dzień przy każdej okazji, przyjmujemy je z pobłażaniem jako zło konieczne, a w miarę upływu czasu przyzwyczajamy się do nich tak, iż przestają nas one razić. Cóż to kogo obchodzi, że bohaterka Cyganerji Puccini'ego „Mimi" opowiada swą historję „aż do *znudzenia*", lub, że w jej okienku zakwita „*memróża*"? Cóż może komu przeszkadzać „*drżąca cała*" Dalilla lub jej słynna arja w której „strzał" „śmierć *ponieść* ma" zamiast ją zadać?

My słuchamy tylko muzyki, a to, że „Carmen" przybrała „świetny strój nie szczędząc rąk i nóg", że w Oneginie Czajkowskiego „żony biedaczki" gotują mężom „*czaj*" zamiast herbaty, jak to opowiada chór na tle walca, lub to, że dumna Amneris mówi groźnie do Aidy „pójdź przedział zmierz ty co walczyć ze mną chcesz!" — to nie obchodzi nas wcale.

Rodzaje błędów i usterek tekstowych są bardzo różne. Jedne polegają na stosowaniu germanizmów i rusycyzmów, inne są śmieszne przez niezręczny układ końcowych i początkowych sylab zbiegających się i tworzących nowe słowa, co przy nieubłaganej rytmice muzycznej występuje znacznie wyraźniej niż w mowie i brzmi czasem tylko nieładnie, a czasem wręcz nieprzyzwoicie, jeszcze inne nie uwzględniają akcentów muzycznych lub też, złożone z twardych, chrzęszczących sylab brzmią niewdzięcznie i trudno je wymawiać.

Niedawno wpadł mi w ręce egzemplarz oratorjum Haydna „Cztery pory roku". Trudno opisać, jakie słowa wyśpiewuje tam nieszczęsny chór w swych prześlicznych numerach muzycznych. Oto kilka przykładów:

„Wielbmy, wielbmy Pana! Wielbmy, wielbmy Go!"

albo:

„Wciąż war strzał grad kul pruje czarne obłoki"

w innem znów miejscu jest mowa o polowaniu i o psie goniącym za swą ofiarą:

„on wcwał, on wcwał jak rozciąga się!"

Najciekawsze jest jednak zdanie śpiewane przez tenże chór:

„świeć o słońce świeć! Tyś oko, tyś luster!"

(n.b. „lus*ter*" z akcentem muzycznym na „ter").

Takich przykładów możnaby przytoczyć bardzo dużo, gdyż większość tekstów muzycznych tłómaczonych na język polski, — to nieudolna i pośpieszna robota przygodnych tłómaczów, liczących na to, że na tekst nie zwraca się zbytniej uwagi.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, że mamy zbyt mało fachowych tłómaczów muzycznych.

Jest to dziedzina pracy zupełnie samoistna i wymagająca, oprócz znajomości języków, dwóch kardynalnych warunków, a mianowicie: talentu literackiego i wykształcenia muzycznego.

Aby dobrze i prawidłowo przetłómaczyć tekst pieśni czy arji, nie wystarczy być tylko zdolnym literatem, lub tylko dobrym muzykiem. Trzeba być jednym i drugim równocześnie. Najzdolniejszy nawet poeta nie zdoła podłożyć pięknego tekstu do muzyki jeśli nie będzie znał doskonale rytmiki, taktu, znaczenia motywów i linji melodyjnej. I odwrotnie: najlepszy muzyk nie zdoła tego uczynić, nie mając talentu literackiego i zdolności rymotwórczych.

Nadmiar dyletantyzmu w tej dziedzinie tłómaczyć należy przedewszystkiem niskiemi wymaganiami odtwórców i kierowników imprez muzycznych oraz — brakiem odpowiednich fachowców. Przygodny tłómacz literat, chcąc ułatwić sobie trudne zadanie, którego nie może pokonać, pozwala sobie częstokroć na różne przeróbki utworu przystosowując go do swego tekstu. Dodawanie nut w miejscach, gdzie jest więcej sylab niż dźwięków, łączenie dwóch nut łukiem, wtedy, gdy w tekście wypada wyraz jednosylabowy, nieuwzględnianie pauz i motywów — spotyka się w przekładach tekstów muzycznych niemal na każdym kroku. Jestto jednak karygodna profanacja utworu muzycznego, o czem taki tłómacz wcale nie myśli.

Są również wypadki, że — doskonały zresztą — poeta, tłómacz tekstu muzycznego, baczy tylko na to, aby ilość sylab wiersza odpowiadała ilości nut i nie przejmuje się wcale akcentami, które padają wtedy zupełnie fałszywie.

Klasycznym przykładem na to twierdzenie jest pieśń Gilera pt. „Słowiki" wydana przez jedno z warszawskich wydawnictw muzycznych. Do pieśni tej napisał słowa znany podobno poeta, który jednak niema pojęcia o muzyce.

Oto wyjątek z tej pieśni:

„Tak pieściła aksamitna mgła
jak twych włosów wonny zwój,
ta słowicza rozełkana gra
ciem północnych srebrny rój".

Nie krytykując wcale formy i sensu tego wiersza, stwierdzamy, że przy muzyce słowa te brzmią:

„Tak pieściła aksamitna mgła
jak twych włosów wonny zwój,
*ta*sło *wi*czaro *ze*łka *na*gra
*ciem*pół *noc*nych srebrny rój!"

I jeszcze w innem miejscu tekst brzmi:

„Zmilkły głosy słowikowych pień,
jeno serce pieśni łka..."

To samo zdanie przybiera w śpiewie następujące akcenty:

„Zmilkły *gło* sysło *wi*ko *wych*pień
jeno *ser* ce *pie* *śni*łka...

A teraz pozwolę sobie zapytać, co ma uczynić śpiewaczka, która pragnie wykonać tę pieśń na koncercie? Czy ma ją śpiewać z fałszywemi akcentami, czy przerabiać odpowiednio do tekstu rytmikę muzyczną, czy też poprawiać samodzielnie niewłaściwy tekst?

Cokolwiek uczyni zawsze to będzie tandeta! I te tandety właśnie jest aż nadto dużo w tej ważnej dziedzinie twórczej.

Należałoby zwrócić baczniejszą uwagę na sprawę tłómaczeń muzycznych i oczyszczając literaturę wokalną z brzydkich, bezsensownych i nieprawidłowych tekstów, powierzać na przyszłość tego rodzaju prace ludziom sumiennym i posiadającym konieczne do tego przygotowanie muzyczne i literackie.

JANINA GILLOWA



„Madonna Lotnicza", piękny obraz prof. Władysława Roguskiego w kościele garnizonowym w Poznaniu.

Migrena, jej objawy i przyczyny

Choroba ta uchodzi poniekąd za typowo kobiecą. Faktycznie też z reguły kobiety zapadają na nią znacznie częściej od mężczyzn. Dlaczego, to wyjaśnimy poniżej.

Oczywiście nazwać ją można ogólnikowo „bólem głowy". Nazwa to jednak nieścisła; lepszem już określeniem jest naukowa nazwa lekarska: hemicrania. Charakteryzują bowiem migrenę silne bóle głowy, początkowo w okolicy czoła, skroni i oczodołu, a ogarniające stopniowo całą jedną połowę głowy.

Znacznie już rzadziej ból ten rozprzestrzenia się na całą głowę, dochodząc niekiedy aż do karku.

Jeszcze przykrzejsze są dalsze objawy: nudności, zawroty głowy, zwiększona silnie pobudliwość skóry. Chory nie znosi światła, ani najlżejszego hałasu, co wywołuje prawdziwe paroksyzmy cierpienia. Ucieka do zaciemnionego pokoju, izolując się starannie od świata zewnętrznego. Tętno zwolnione, ciało pokrywa się zimnym potem.

Atak trwa kilka, czasem kilkanaście godzin. Chory zasypia, a nazajutrz budzi się nieco zmęczony, ale ma apetyt i czuje się dobrze.

Takie są typowe objawy migreny. Mogą one ulegać pewnym zmianom w tym czy w innym kierunku. Jeden chory nie może w czasie ataku nawet patrzeć na jedzenie, innemu jakiś lekki posiłek właśnie przynosi ulgę. Jeden zmuszony jest położyć się do łóżka, innemu wystarczy parę godzin absolutnej ciszy i spokoju.

Jest rzeczą ciekawą, że osoby, cierpiące na migrenę, przeczuwają zazwyczaj jej atak na szereg godzin naprzód, po pewnych niezawodnych oznakach, jak uczucie zmęczenia, niezwykła pobudliwość i nerwowość, zaostrzenie wzroku i słuchu.

*

Bezpośrednim czynnikiem wywołującym migrenę są zaburzenia w krążeniu krwi, w szczególności zaś skurcz naczyń tętniczych czaszki, zaopatrujących nerw trójdzielny. Skutkiem skurczu powstaje przejściowa anemja tego nerwu, wywołując opisane powyżej objawy. Znacznie rzadziej pod wpływem skurczu następuje, wręcz przeciwnie, rozszerzenie naczyń tętniczych, powodujące przejściową kongestję, co objawia się w silnem zaczerwienieniu twarzy. W tych ostatnich wypadkach przynoszą ulgę zimne okłady na głowę, podczas gdy normalnie stosuje się okłady ciepłe.

Jakie jednak jest właściwe źródło samej choroby? Otóż tutaj wchodzą w grę różne i różnorodne czynniki.

Są osoby, nie znoszące pokarmów białkowych. Spożycie któregoś z nich, na który, dany organizm jest specjalnie czuły, wywołuje nieunikniony atak migreny. Dlatego też w leczeniu tej choroby zalecaną bywa djeta jarzynowo-mleczna, z ograniczeniem do minimum spożywania białka.

W innych wypadkach źródłem choroby bywa nieprawidłowe funkcjonowanie wątroby lub woreczka żółciowego, co wymaga naturalnie specjalnej kuracji.

Najczęściej jednak, zwłaszcza u kobiet, migrena powstaje skutkiem zaburzeń w funkcjonowaniu gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu, a więc rozmaitych chorób kobiecych.

A wreszcie wchodzić mogą w grę również i czynniki zewnętrzne, jak nadmierne zimno lub gorąco, działające drażniąco na sam nerw trójdzielny. Znaną też jest rzeczą, że przemęczenie, silne wzruszenia psychiczne, nadużywanie tytoniu i alkoholu mogą u pewnych osobników działać drogą refleksu na nerw trójdzielny, powodując atak migreny.

Na jedną rzecz jeszcze zwrócić należy uwagę: ataki tej choroby występują zawsze u danej osoby w tej samej formie i w tych samych okolicznościach, co dowodzi, że stoją one w pewnej zależności i w pewnym związku z ogólną konstytucją całego organizmu.

Już z tego, co wyżej powiedziano, wynika, że leczenie migreny musi być zupełnie indywidualne, poza takiemi ogólnemi zabiegami, jak spokój, zaciemniony pokój, okłady na głowę.

Jakie medykamenty należy zastosować, o tem zadecyduje lekarz po dokładnem zbadaniu i ustaleniu właściwego źródła choroby. Trzeba bowiem pamiętać zawsze o tem, że migrena — poza rzadkiemi wypadkami, o których powyżej wspomnieliśmy, — jest z reguły następstwem względnie objawem jakiejś innej choroby organicznej.

Ostatniemi czasy stosuje się również i fizyko-terapję, jak naświetlanie nerwu trójdzielnego falami krótkiemi, masaż lokalny i t. p. Ten system leczenia, wprowadzony stosunkowo niedawno, daje bardzo zachęcające wyniki.

(dr. L.)

Napoleon i jego towarzyszki

na wyspie św. Heleny

Do niezliczonej ilości studjów historycznych o Napoleonie przybyło świeżo dzieło, którego autorem jest znany historyk francuski i najwybitniejszy fachowiec w tej dziedzinie, Oktaw Aubry.

Nie ograniczył się on do szperania po archiwach. Pragnąc w dziele swem *„Sainte Hélène"* zobrazować możliwie wiernie i dokładnie lata pobytu wielkiego korsykanina na tem odludziu, odbył podróż na wyspę św. Heleny, by tam na miejscu zebrać i uzupełnić potrzebne materjały.

Toteż wielkie jego, dwutomowe dzieło przynosi całą masę szczegółów nowych, dotąd nieznanych, a przedstawiających dla historyków ogromną wartość.

Znajdujemy w niem między innemi sylwetki kobiet, które towarzyszyły Napoleonowi na wygnanie, umilając mu ostatnie lata jego życia na dalekiej wyspie.

Było ich dwie zaledwie: hrabina Bertrand i hrabina de Montholon. Dwa różne, odrębne typy, zazdrosne, rywalizujące między sobą o łaski cesarza, może nawet nienawidzące się w głębi duszy...

Hrabina Bertrand, z domu Fanny Dillon, córka zgilotynowanego generała, była dawniej ulubienicą Józefiny. Ładna, postawna blondynka o ślicznych czarnych oczach... Marzyła o świetnem małżeństwie, o diukach, książętach krwi... Ostatecznie, na wyraźne życzenie Napoleona, poślubiła generała Bertranda, który wkrótce dał się jej zupełnie zawojować, ulegając potulnie wszystkim kaprysom swej zarozumiałej i niesłuchanie rozrzutnej małżonki.

Oboje towarzyszą Napoleonowi na wyspę św. Heleny, — hrabina coprawda, z ciężkiem sercem. Nie uśmiecha się jej pobyt na tem odludziu. Zwłaszcza, że ma tam groźną rywalkę w osobie hr. de Montholon, której okazuje wyraźną pogardę.

Faktycznie też Albina de Montholon ma już za sobą burzliwą przeszłość. Jest kobietą w wieku lat około 35. Ma cerę nieco zniszczoną, ale ładne oczy i wspaniałe włosy. Zna wyśmienicie wszystkie arkany kokieterji. Sprytna intrygantka, dążąca wytrwale do celu, niezrażająca się żadnemi przeszkodami ani trudnościami, znosząca cierpliwie drobne afronty i upokorzenia.

Sekunduje jej dzielnie sam Montholon, były szambelan, skompromitowany zupełnie podczas pamiętnych „Stu dni". Wie, że od Burbonów niczego już spodziewać się nie może. Nie ma nic do stracenia, więc trzyma się kurczowo Napoleona, jako ostatniej deski ratunku...

Obie rywalki patrzą na siebie wrogo. Wybuchają kłótnie, gorszące sceny. Wkrótce Bertrand przenosi się wraz z żoną i dziećmi z Longwood do odległej willi. Hrabina Montholon zostaje sama na placu. Rozwija cały kunszt zawodowej kokietki, by zdobyć serce Napoleona. „Robi wszystko możliwe", notuje Gourgaud, „aby rozkochać w sobie cesarza, — słodkie oczy, sukienka wcięta w pasie, — robi się piękna, co jej wcale łatwo nie przychodzi".

Zdaje się, że jednak to wszystko nie wywiera zbyt silnego wrażenia na cesarzu. Zwierza się swemu otoczeniu: „Nie myślcie, że ona mi się podoba. Przywykłem do towarzystwa kobiet zbyt ładnych i eleganckich, bym mógł nie zauważyć tych śmiesznych manier pani de Montholon. Ale tutaj człowiek nie ma wyboru. Zadowoliłby się nawet towarzystwem papugi, w braku czegoś więcej..."

Pani de Montholon jednak jest wytrwała. Dotrzymuje wiernie towarzystwa cesarzowi, stara się go rozerwać, pocieszyć, opowiada o możliwości powrotu do Europy, o stworzeniu wielkiego cesarstwa w Ameryce...

A kiedy w roku 1819 zmuszoną jest opuścić wyspę, Napoleon żegna ją ze

P. OVIDIUS NASO

POTOP

Zamieszczamy poniżej wyjątek z przekładu jednego z najsłynniejszych utworów klasycznej literatury łacińskiej, „Przemian" Publiusa Ovidiusa Nasona (r. 43. przed nar. Chr. — 17. po nar. Chr.). — Red.

Jowisz rozsierdzony zbrodniami rodu ludzkiego, postanawia wygubić świat potopem.

Natychmiast Akwilona[1]) do Eola[1]) groty
Zamyka wraz z wiatrami tymi, których loty
Spędzają rozwleczone chmury, pełne słoty,
A wypuszcza Notusa[1]). On wraz się porywa
Na mokrych skrzydłach; srogą twarz mgła smolna skrywa,

Brodę woda przesyca, czoło mgła powleka,
Rosa sączy się z włosów, z piór i łona ścieka.
Gdy ścisnął rozpostarte szeroko obłoki,
Powstał huk, zaczem deszczu runęły potoki,
A posłanka Junony[2]), w różnych barwach lśniąca,
Pije wodę i chmury zasila bez końca.
Kładą się zboża, we łzach rolników nadzieje
Leżą i praca roku całego marnieje.
Niedość sił nieba dla Jowisza — ale
Także i modry brat[3]) mu posłał w pomoc fale.
Gdy na króla wezwanie wszystkie bogi rzeczne
Zeszły się w pałac jego, rzecze im: Zbyteczne
Dzisiaj długie zachęty! — zbierzcie siły swoje!
Otwórzcie wrota! trzeba, aby wasze zdroje,
Niosły się w niewstrzymanym pędzie bez przeszkody.
Rozkazał. Powracają i każdy swej wody
Źródło otwarł — i już się rwie fala szalona...
Sam zaś w ziemię trójzębem uderzył, a ona
Zadrżała i wstrząśnieniem otwarła wód drogi.
Fale bez brzegów leją się przez pól rozłogi,
Unosząc z sobą drzewa, zasiewy, domostwa,
Bydło, ludzi, świątynie z posągami bóstwa;
A jeśli, oparłszy się zniszczeniu, ocalał
Dom jaki, wnet wał wyższy wierzchołek mu zalał.
Niknie, w toni pogrążon, szczyt każdej wieżycy:
Między morzem a ziemią niema już różnicy.
Wszędzie ocean, który nawet brzegów nie ma...
Ten na wzgórzu... w łódź tamten siadł, wiosek się ima,
Płynąc miejscem, gdzie orał niedawno zagony.
Ów nad zbożem lub dachem chaty zatopionej
Żegluje... ten u szczytu wiązu rybę chwyta.
W łące tkwi — jak wydarzy się — kotwica wbita
Lub trą się dną wygięte o winnicy łozy...
Tam, gdzie niedawno trawę rwały zgrabne kozy,
Teraz bezkształtne ciała foki rozkładają.
Zdziwione przypatrują się Nerejdy[4]) gajom,
Domom, miastom pod wodą... Rój delfinów pląsa
Wśród lasów... na konary wpada, pniami wstrząsa...
Płyną wilki wśród owiec... i płowe lwy z falą,
Z falą płyną tygrysy... i już nie ocalą
Siły piorunu dzika, ni chyżość goleni
Nie zbawi unoszonych wraz z prądem jeleni.
Długo ptak, gdzieby spocząć, wypatrywał ziemi,
Aż wreszcie upadł w toń z skrzydłami znużonemi.
Skryła wzniesienia morza bezkresna swoboda,
Biła o gór wierzchołki nieznajoma woda;
Fala pochłania tłumy, niewielu oszczędza —
A i tych niszczy jadła brak i postu nędza.
Gdy Jowisza ujrzał, że świat zalewisko kryje
I że z tyłu tysięcy tylko jeden[5]) żyje
I że z tyłu tysięcy tylko jedna[5]) żyje,
Akwilonem obłoki dżdżu pełne rozmiata:
I zobaczył świat niebo, niebo postać świata.
Ustał gniew morza. Pocisk o potrójnym zębie
Odrzuciwszy, toń gładzi Neptun; ponad głębię
Wznosi się modry Tryton[6]): purpura prawdziwa
Ze szkarłatnych ślimaków barki mu pokrywa.
Jego to władca morza ku sobie przyzywa
I brzmieniem dźwięcznej muszli każe słać orędzie,
By wszystkie wody fale swe wstrzymały w pędzie.
On bierze w rękę konchę wydłużoną, krętą,
Coraz szerszymi kręgi w górę rozwiniętą,
Która kiedy powietrze wciągnie wśród mórz toni,
W krainach obu Febów[7]) jej głos się rozdzwoni.
I wtedy, gdy ust bożka, od brody wilgotnej
Mokrych, dotknąwszy, na bieg zagrała powrotny,
Usłyszały ją wszystkie mórz i ziemi wody
A usłyszawszy, fal swych wstrzymały pochody.
Opadają strumienie, widać szczyt za szczytem..
Morze ma brzegi... pełnem toczą się korytem
Rzeki... wznosi się ziemia, zwiększają pól smugi.
Maleją wody... i po czasu dobie długiej
Ukazują się drzew wierzchołki z gałęziami
I liśćmi, które jeszcze osad mułu plami.
Był znów świat — — — — — —

Przełożył ARTUR ĆWIKOWSKI

[1]) Eol — król wiatrów; Akwilon — wiatr północny; Notus — wiatr południowy. [2]) Iris — tęcza. [3]) Bóg mórz, Neptun. [4]) Nerejdy — boginki morskie. [5]) Deukalion i Pyrrha, jedyni, którzy ocaleli z potopu. [6]) Tryton — bożek morski. [7]) Na wschodzie i na zachodzie.

szczerym żalem, obsypuje podarkami i pieniądzmi.

Odjeżdża z ukrywanem zadowolenie: pognębiła zupełnie swą nienawistną rywalkę. Napoleon odsuwa się coraz bardziej od hr. Bertrand.

Poza temi dwiema Francuskami niewiele kobiet zetknęło się na wyspie z cesarzem. I były to znajomości krótkie, przelotne.

W miłej pamięci Napoleona została Marja Anna Robinson, córka zamożnego wieśniaka. Ujrzał ją po raz pierwszy u drzwi jej chaty, gdzie stała, trzymając duże naręcze kwiatów. Od tej chwili nieraz zachodził w te strony, by zobaczyć tę swoją „nimfę", jak ją nazywał. Było to proste, młode, naiwne dziewczę, o różowych policzkach i wielkich piwnych oczach. Marja Anna wyszła za mąż za kapitana Edwardsa. Uważała sobie za obowiązek przedstawić swego narzeczonego Napoleonowi.

Prawdziwym promykiem słonecznym była wreszcie młoda Betsy Belcombe. W domu jej rodziców mieszkał Napoleon przez jakiś czas, zanim przygotowano mu apartamenty w Longwood.

Tam zaprzyjaźnił się z małą Betsy. Był to rozkoszny ośmnastoletni urwisz, prawdziwe „enfant terrible". Traktuje cesarza jak starego wujaszka, wiesza mu się u ramienia, zapytuje go tysiącem naiwnych i zuchwałych pytań, urządza mu rozmaite niewinne psikusy.

Napoleon jest nią zachwycony, pozwala jej na wszystko, czasem łagodnie wytarga za różowe uszko.

Więc kiedy przyszła chwila pożegnania, kiedy Betsy wraz z rodziną ma opuścić wyspę, Napoleon żegna ją czule, daje jej na pamiątkę kosmyk włosów, ociera jej łzy własną chusteczką...

Odjechała, — zgasł ostatni promyk słońca dla samotnego wygnańca i więźnia...

(kr.)

Trucicielstwo i truciciele w Indjach

Nikogo zapewne nie zadziwi wiadomość, że Indje także znały zbrodnie i zbrodniarzy. I w Indjach zbrodnia — w tej czy innej formie, otwarcie występująca lub kryjąca się wstydliwie, nieraz odziana w zwodniczy płaszczyk cnoty — kwitła zarówno w starożytności, jak w średniowieczu i w czasach nowszych.

Nie najrzadszą zbrodnią było trucicielstwo. I ono pochwalić się może starożytnością: genealogja jego, oparta na dokumentach, sięga najdawniejszej znanej nam epoki. wedyjskiej. Z braku miejsca ograniczymy się tu jednak do czasów nowszych.

WŁADCY W ROLI TRUCICIELI.

Resztki kurtuazji, ocalałe z pogromu wielkiej wojny, nakazują pierwsze miejsce i tu zarezerwować dla królów i książąt.

Potężny władca mahometański, Mahmud z Gazny (miasto na terenie dzisiejszego Afganistanu), rządzący w pierwszej połowie w. XI., pozbył się podobno całej bandy rabusiów w ten sposób, że zatruł ładunek jabłek, niesiony przez wielbłąda. Podanie indyjskie opowiada, że cesarz Akbar (1556—1605), pragnąc pozbyć się rządcy kraju Sind (płn. zachód), kazał sporządzić dwie pigułki zupełnie podobne, z których jedna miała zawierać truciznę; w czasie rozmowy z owym rządcą, bawiąc się pigułkami, pomieszał je nieopatrznie i poczęstował gościa niezatrutą, a sam połknął zatrutą i padł ofiarą tej pomyłki — mimo zażycia odtrutek. Inny władca, Majsuru, Tipu, który pod koniec w. XVIII stał się potęgą, groźną dla Anglików, otruł w więzieniu gen. Maitlanda.

Osobna wzmianka należy się księciu, który truł dzięki temu, że sam był przepojony trucizną. Oto Samuel Purchas, który wydał (w latach 1624—1626) w pięciu tomach opis podróży europejczyków do Indyj, opowiada, że władca Ahmedabadu, Mahmud Begada (druga połowa w. XV) żywił się trucizną; codzienne jego pożywienie stanowiły: żmija, bazyliszek i... ropucha (powinszować!). Odoardo Barbosa zaś, kuzyn słynnego żeglarza Magellana, z którym razem odbył podróż naokoło świata, i autor dzieła „Wybrzeża Afryki wschodniej i Malabar" (1515) zdradza i tajemnice dziecińsiwa owego Mahmuda: „Ojciec jego chciał, by wychowywano go od dzieciństwa i żywiono trucizną, ażeby nie można było go zgładzić trucizną; bo królowie tamtych okolic często wzajemnie się gładzili przy pomocy trucizny.. dlatego też stał się tak zatruty, że, jeżeli mucha usiadła na jego ręce, puchła i bezzwłocznie padała martwa. „Gorzej — jeżeli tylko musnął swym oddechem którą ze swych licznych żon, umierała natychmiast. Nawiasem mówiąc, właśnie mahometański obyczaj trzymania kobiet w specjalnych apartamentach, t. zw. **zenana** (nazwa perska, pochodząca od zen „kobieta"), ułatwiał trucicielstwo, zwłaszcza, że obyczaj ten przyjął się na szeroką skalę i u Hindusów, przedewszystkiem w Bengalu i prowincji Mahratta.

„CZAMAROWIE" I BANDY TRUCICIELSKIE.

W początkach panowania angielskiego nad Indjami bardzo rozpowszechnione było trucie koni i bydła wzdłuż Gangesu. Z relacyj por. Bacona i innych wynika, że miejsca postoju były terenem, gdzie grasowały ciemne indywidua, uprawiające niecny proceder trucia koni oficerskich. T. zw. **czamarowie** (z nowoind. **czamar** „skórnik") czyli garbarze często truli bydło dla zdobycia skór, zarabiając w ten sposób ubocznie. Gdy zaś wskutek mocno niedyskretnych a bolesnych operacyj gen. Sleemana, pogromcy osławionych thagów, organizacja tych „dusicieli" stała się mitem, na miejsce jej pojawiło się zaraz inne, równie miłe bractwo, trujące ludzi po drogach.

Były to małe, oddzielne bandy, nie posiadające na szczęście już doskonałej organizacji thagów. Od tych ostatnich różniły się też tem, że nie oszczędzali kobiet; głównemi ofiarami były przedewszystkiem tancerki. Te dwie różnice, — niezależnie od sposobu wyprawiania luzi poza granice świata doczesnego — wystarczają, by truciciell uważać za coś **różnego** od thagów. Byli bowiem tacy, **którzy sądzili**, że obie te pożyteczne instytucje niedobroczynne, (pożyteczne o tyle, że zwalczały skutecznie niebezpieczeństwa przeludnienia!) ściślej jakoś się z sobą łączyły. Wprawdzie i truciciele przed wyruszeniem na wyprawę składali ofiarę świętemu czy bóstwu, lecz taki obyczaj panował i u innego rodzaju band zbójeckich, nie dowodzi więc niczego. Ciekawe też, że słownik thagów nie znał wyrażenia na oznaczenie trucizny.

Truciciele operowali zazwyczaj w przebraniach. Przebierali się czasem za wędrownych fakirów, czasem — dla ułatwienia sobie zadania — za kucharzy braminów (członkom kasty wyższej nie wolno przyjmować jadła od członków kasty niższej; kasta bramińska jest najwyższa, od jej członków zatem wszyscy mogą **przyjmować jedzenie**); czasem **udawał** taki truciciel przewodnika **pielgrzymów**. Nieraz grał rolę pośrednika **małżeńskiego**, poszukującego panny na wydaniu, to znów dołączał się do trupy tancerek lub partji kupców z Kabulu, przybywającej z końmi turkiestańskiemi na sprzedaż. Czasem też operował w towarzystwie rodziny, rzeczywistej lub specjalnie na pewien czas przybranej.

Głównem miejscem operacji tych truciciell był seraj czyli gospoda. Truciciel ofiarował się podróżnym z dostarczaniem albo gotowaniem jadła i przy takiej sposobności oczywiście zatruwał ryż czy placek, który podawał.

Sleeman sądził, że truciciele starali się zawsze pozbawić swe ofiary życia, natomiast pułk. Hervey przeczył temu, utrzymując, że w rzeczywistości chcieli tylko je oszołomić — tak, by móc bezpiecznie uciec po dokonaniu rabunku. Nie ulega jednak wątpliwości, że często przez pomyłkę zadawali zbyt dużą dozę środka oszołamiającego i wtedy skutki były fatalne.

ŚRODKI TRUJĄCE

Gdy już ktoś zdecydował się na użycie trucizny, z otrzymaniem jej naogół nie wiele miał kłopotu. Posłuchajmy, co powiada lekarz angielski dr. Chevers w drugiej połowie ubiegłego wieku: „Obfitość różnorodnych śmiertelnie działających roślin, rosnących w gorącej, a wilgotnej atmosferze Bengalu, i nieograniczona swoboda, z jaką można prawie wszystkie rodzaje najgwałtowniejszych trucizn mineralnych i roślinnych nabyć w każdym bazarze indyjskim, nadto oswojenie się z działaniem narkotyków, wynikające z nałogu codziennego jedzenia opium i palenia konopi, dostatecznie tłumaczą rozpowszechnienie się skrytobójczego trucia wśród narodu bojaźliwego, który zawsze woli posługiwać się zdradą niż przemocą przy popełnianiu zbrodni — chyba, że znajdzie się w stanie szalonego podniecenia. Zatem kilkadziesiąt lat temu w takim Bengalu miano kłopot z... wyborem trucizny!

DATURA — SZALEJ

Truciciele jednak zazwyczaj posługiwali się dla swych celów szalajem (bieluniem), wywołującym utratę czucia i szał. (skąd nazwa polska tej rośliny „szalej").

Wspomniany już Chevers sądził, że do powolnego trucia, praktykowanego podobno w wiekach średnich, żaden środek medyczny, znany dziś, nie nadawał się tak dobrze jak właśnie datura (zwana „stramonium", z łac.). Według innego uczonego, Bartona, „jeśli zażyć datury na 24 godzin, usuwa wszelkie uczucie smutku, pobudza do wesołości i śmiechu". Kto wie też, czy van Linschoten — który zostawił relacje o podróży po Indjach w latach 1583—1589 — nie miał na myśli datury, gdy pisał, że istnieje „pewna trucizna czy jad, który zabija osobę pijącą go, o tym czasie, czy o tej godzinie, o jakiej im (tj. trucicielom) się podoba; przyrządzając tę truciznę, robią ją taką, że będzie leżeć 6 lat w ciele człowieka i nie zabije go, a potem zabije go, nie chybiając i o pół godziny".

Inna rzecz, że takie działanie jakiejś trucizny można chyba włożyć między bajki (dla niegrzecznych dzieci, choć dzisiejsza pedagogika zabrania i tego). Podobny los czeka pewnie i opowieść Grosego, autora „Podróży do Indyj Wschodnich" (1772), o pewnem nasieniu, udającem się na brzegach Gangesu, że, jeżeli je połknąć, przylgnie ściśle do ścian żołądka, zacznie tam się rozwijać i wypuści rozgałęzienia tak, że zabije człowieka, a w mocy medycyny nie leży zniszczyć je lub przeszkodzić jego rozwojowi". Niektórzy sądzą, że i ten opis może się odnosić do datury.

ARSZENIK I MODLIGROSZEK

Wspomniani wyżej „czamarowie" posługiwali się zazwyczaj albo arszenikiem, albo nasionami paciorkowca, zwanego inaczej modligroszkiem (abrus precatorius; nazwa polska „modligroszek" jest tłumaczeniem niemieckiej „Paternostererbse", zawdzięczającej swe pochodzenie — jak przypuszczam — faktowi, że z nasion tej rośliny sporządzają w Indjach różańce). W pierwszym wypadku umieszczali w korycie, z którego bydło jadło, kulki cukru, zawierające arszenik. — W drugim ucierali nasiona na rodzaj pasty i w tej formie przykładali je bydłu na rany lub zadraśnięcia; nasiona te można jeść po ugotowaniu, lecz w stanie surowym wym stanowią skuteczną truciznę. Jedynym środkiem zapobiegawczym było — rozcinanie skór wszystkich zdechłych zwierząt tak, by je uczynić bezużytecznemi dla garbarzy.

TŁUCZONE SZKŁO I PROSZEK DJAMENTOWY

Jako trucizny drażniącej często używano tłuczonego szkła. Jeszcze lepszą reputacją i jeszcze szerszą klientelą cieszył się proszek z djamentów. Muzułmanie z sfer wyższych w Indjach południowych uważali go za najmniej bolesną, a równocześnie najskuteczniejszą truciznę. W czasach niepewnych zachowywano sobie trochę proszku djamentowego na wypadek nadejścia czarnej godziny. Pułk. James Tod, z którym zaraz bliżej poznajomię czytelników, opowiada, jak to pod koniec w. XVIII rządca Adżmiru (Ajmere, w Radżputanie), oblężony przez awanturnika francuskiego nazwiskiem de Boigne, połknął djamentowy proszek, potem wydał polecenie: „Powiedzcie radży, że tylko tak mogłem dać dowód swego posłuszeństwa i że tylko po moim trupie mógł wróg wejść do Adżmiru." Jeszcze z końcem ub. w. Mulhar Rao z Barody, chcąc otruć pułk. Phayre'a, użył proszku djamentowego, zmieszanego na wszelki wypadek z arszenikiem („Doppelt reisst nicht").

ZATRUTE SZATY.

Pułk. James Tod, zasłużony zbieracz tradycyj, legend i literatury, odnoszących się do radżputów, wśród których przebywał wiele lat jako rezydent w pierwszej połowie w. XIX. powiada m. in. kilka historyj o książętach, których zgładzono zapomocą zatrutych szat — podobnie jak Herkules miał zginąć, gdy odział się w szatę, nasmarowaną czy raczej przepojoną krwią Messusa. „Naturalnie — mówi Tod — musiało to nastąpić drogą absorpcji pory skóry; w gorącym klimacie, gdzie nosi się tylko cienką tunikę, przylegającą bezpośrednio do ciała, wiele złego mogło to wyrządzić, choć trudno pojąć, jak mogło sprowadzić śmierć."

ODTRUTKI I ŚRODKI OCHRONNE

Ludzie różnią się od baranów naogół tem, że mniej chętnie dają się zarzynać czy mordować. Częste zamachy trucicielskie doprowadziły do używania wielu antydotów.

Fra Paolino da san Bartolomeo (recte Wessdin), karmelita austrjacki, który w 2 połowie w. XVIII działał jako misjonarz w różnych częściach Indyj i napisał też kilka ciekawych książek o tym kraju, sądził pewnego razu, że go otruto i zażył odtrutki „nadurskiej", tak nazwanej od miasta Madury (na płd.).

Krajowcy, a także pierwsi osadnicy angielscy wierzyli, że naczynia, sporządzone z pewnych materjałów, chronią przed trucizną, i używali tylko takich naczyń. Taką właściwość przypisywano minerałowi nefrytowi czyli nerkowcowi, dalej rogowi nosorożca, uważanemu za identyczny z rogiem legendarnego jednorożca. „Rogi w Indjach — powiada wspomniany już Linschoten — bardzo się ceni i używa ich dla obrony przed wszelkim jadem, trucizną i wielu chorobami." Tę samą właściwość przypisywano dalej szkłu weneckiemu, a angielscy osadnicy w Indjach w w. XVII posługiwali się naczyniami ze specjalnego rodzaju porcelany, gdyż wierzyli, że naczynie takie pęknie, jeżeli znajdzie się w niem trucizna.

Wreszcie rośnie w Himalajach pewna roślina pasorzytnicza, wywołująca zgrubienie na klonie i dębie. Z takich zgrubień sporządza się czasze, które mają posiadać właściwość zdradzania obecności trucizny. Uczony podróżnik angielski Hooker, który podróżował po płn. wschodzie Indyj w połowie w. XIX. chciał kupić takie curiosum i musiał zapłacić za jedną sztukę całą gwineję (złota moneta angielska wartości 21 szylingów).

Trucicielstwo w Indjach nie było niczem nadzwyczajnem jeszcze w pierwszych latach w. XX.

DR. E. SŁUSZKIEWICZ.

Dwa stosy w Dubnie

Ożywiony ruch panował w dniu 5 marca 1716 r., przed budynkiem sądu miejskiego w Dubnie, na Wołyniu. Mieszkańcy niemal całego miasteczka ściągnęli na rynek, zwabieni wieścią, że sąd miejski sądzić będzie w onym dniu sprawę przejścia na judaizm dwu kobiet: Maryny Dawidowej Syrowajcowej, Rosjanki z Witebska, oraz Maryny, córki Wojciecha, mieszczanina z Mielca, Polki. Już niebawem i sąd miejski zjawił się w komplecie: przybyli wszyscy trzej burmistrze, Paweł Kiryaneńko, Jan Kapusteńko i Paweł Jarmołowicz, — dalej landwójt Jan Hołowczycki, oraz przysięgły Mikołaj Wadowicki. Cepaki miejskie przyprowadzili już z więzienia na zamku obie podsądne Maryny, Syrowajcową i Wojciechównę. Jak stare akta „maideburji dubieńskiej" głoszą, obie sprawy „agitowały się między instigatorem sądowym z jednej a niezbożnemi odszczepieńcami wiary chrześcijańskiej z drugiej strony".

Najpierw sądzoną była sprawa Maryny Dawidowiczowej Syrowajcowej.

CÓRKA POPA PRZESZŁA NA JUDAIZM

Maryna Syrowajcowa złożyła przed sądem następujące zeznanie:

— „Żem ja jest z miasta Witebska, córka jednego popa witebskiego, Ochryma, a gdy mój ojciec umarł, matka wydała mnie za mąż za chrześcijanina Dawida Syrowajca, z którym żyła dziesięć lat, a gdy mąż mój umarł, umyśliłam, opuściwszy wiarę chrześcijańską a żydowską przyjąć wiarę!"

— Sąd pyta:

— „Kto cię na to namówił?"

— „Nikt! ja sama od ojca mego popa, słyszałam, że ta wiara lepsza jest niż chrześcijańska, a tak ja to wziąwszy w umysł, zostałem teraz w żydowskiej wierze, już temu około pół roku jakby od kuczek żydowskich".

I zeznawała dalej, że swoim koniem wyjechała z Witebska i jadąc od miasteczka do miasteczka, przyjmowaną była gościnnie przez żydów miejscowych, którzy dostarczali jej podwód, aż wreszcie po przebyciu wielu mil, dotarła do Dubna, gdzie została nazajutrz aresztowaną i do więzienia wtrąconą.

— Sąd pytał dalej:

— „Jeżeli możesz nawrócić się na wiarę świętą i chcesz być chrześcijanką znowu?

— „Nie chcę — odpowiedziała — i gotowam ginąć w tej żydowskiej wierze!"... Co kilkakrotnie potwierdziła „przy cielesnej konfessacie".

ŚLUB MARYNY Z MIELCA Z FROIMEM JAKUBOWICZEM

A potem sąd, odkładając wyrok w sprawie Syrowajcowej na później, rozpatrywał drugą sprawę, w której stanęła przed nim Maryna Wojciechówna z Mielca.

Przywiózł ją do Dubna Leib Mewszowicz i zaznajomił z Froimem Jakubowiczem, który oświadczył gotowość poślubienia Maryny. Załatwiono bardzo szybko formalności, Jankiel Józefowicz, który „chory będąc" wypełnił papiery, gospodarz szpitalny, Leib Abrahamowicz był świadkiem a Jankiel Boruchowicz udzielił w kahale ślubu Leibowi i Marynie. W tej chwili wkroczył do kahału przysięgły z cepakami i aresztował Marynę i pięciu żydów, których pomieszczono w więzieniu zamkowem.

W czasie rozprawy sądowej, Maryna Wojciechówna pytana, skąd pochodzi, zeznała:

— „Jam jest rodem z miasta Mielca, tam służyłam u pewnego żyda lat trzy, a potem mnie do Leżajska namówiono do żydów i tam zostałam żydówką z namowy żyda Pasternaka i innych żydów i żydówek".

A po „cielesnej konfessacie" mówiła:

— „że ja teraz brzydzę się tą wiarą żydowską, bom jak wierzyła w Chrystusa, tedy i teraz dla niego gotowam cierpieć i umierać!"

Poddano następnie przesłuchaniu pięciu żydów, którzy przed i po „cielesnej konfessacie" zgodnie mówili, iż „nie wiedzieli, aby ta dziewka była chrześcijanką".

WYROK

Sąd wysłuchawszy inkwizycji a „uważając taki ekscess popełniony, rzadko albo nigdy niesłychany, haniebny i szkodliwy" przechyla się do artykułu „Speculum Saxonicum", iż każdy odszczepieniec ogniem ma być karany, wydaje następujący „dekret":

...„aby Maryna Dawidowa była żywą na stosie drzew paloną"...

...dziewka Maryna Wojciechówna, któ ar, lubo znowu do wiary chrześcijańskiej nawraca się, żałując za swój haniebny uczynek i znowu chce być chrrześcijanką, jednak podług prawa pospolitego, ma być gardłem karana, to jest, aby pod miecz głowę oddawszy, ciało ma być spalone na stosie drzew jako wiarołomcy i odszczepieńca".

...„tych zaś żydów pięciu, lubo Wojciechowska zeznawała, że musieli wszyscy żydzi wiedzieć o mnie, żem chrześcijanką była, ale kiedy tylko sama powiada, a innych dokumentów, ani dowodów sąd na to nie ma, przeto owych pięciu żydów sąd uwalnia od stracenia gardła, a natomiasta skazuje czterech z nich „aby byli smagani u pręgi po plag 100, poza tą karą Leiba Mewszowina wygania z miasta a Janka Józefowicza uwalnia.

SKAZANIE KAHAŁU.

„A że ten ekces stanął w Dubnie, między kahałomi dubieńskiemi, a kahał był w tem ospały i trzymali u siebie przez tydzień tych odszczepieńców i wesele owym pozwolili czynić", tedy nakazuje sąd kahałowi, aby złożył odpowiednią ilość kamieni wosku i łoju parze dubieńskiej, konwentów O. O. Bernardynów, klasztorowi P. P. Karmelitanek, cerkwi św. Mikołaja i cerkwi św. Eljsza, wreszcie karę pieniężną J. Oświeconemu Księciu, zwierzchności zamkowej i urzędowi miejskiemu, oraz ponieść koszta procesu.

Wkońcu sąd wydaje charakterystyczne zarządzenie:

...„100 grzywien na Żyda, któryby chrześcijanina utriusque sexus za sługę sobie przyjmował a chrześcijanin, aby też żydowi nie służył, pod więzieniem i winą nieodpustną, Żyd zaś takowy każdy winę zapłaci do skarbu J. O. księcia Jegomości dziesięć talarów bitych".

Ostatnia sentencja tego dekretu została publicznie ogłoszoną na rynku w Dubnie w trzy dni po wykonaniu wyroku na obu skazanych na śmierć kobietach, z tem dobitnem podkreśloniem: „aby od tych czas żaden chrześcijanin ani chrześcijanka tak rzymskiej, jak i greckiej religji nie ważyli się służyć (u żydów) pod winą w dekrecie opisaną".

A. M.

„Ludzie pióra" i „ludzie radja"

Czy pisarze, poeci, artyści powinni sami stawać przed mikrofonem, by zaznajamiać rzesze radjosłuchaczy ze swoją twórczością, czy też robić to za nich winien ktoś inny? Różne są o tem zdania. Nagół przeważa pogląd, że literaci, mając dotychczas mało kontaktu z radjem, przeważnie nie umieją mówić do mikrofonu, że lepiej jest, jeżeli poetę w wygłaszaniu jego wierszy zastąpi zawodowy recytator, a o głośnej jakiejś powieści opowie słuchaczom nie jej twórca, lecz fachowy prelegent.

Tak też ułożyły się stosunki w radjofonji wszystkich prawie krajów. Twórcy rzadko dochodzą do głosu przed mikrofonem, zastępują ich tu zawodowcy, pośrednicząc niejako między nimi, a słuchaczami. Z punktu widzenia technicznego jest w tem — być może — wiele racji. Stały prelegent radja ma miły dla ucha głos, świetnie umie nim operować, żadne jego słowo nie jest stracone dla słuchacza. A pisarz? Pisarz umie pisać. Z mówieniem gorsza sprawa. Gdy stanie przed mikrofonem, zazwyczaj miewa tremę, czasem połyka spółgłoski, niewyraźnie wymawia końcówki, a w rezultacie z głośników płynie głos monotonny, głos człowieka, odczytującego przygotowany w domu skrypt. A jeżeli jeszcze audytorjum posłyszy sakramentalne słowa: „w szczupłych ramach 15 minut, trudno mi się wypowiedzieć", efekt prelekcji będzie chybiony.

A zatem odsunąć literatów i artystów od mikrofonu, względnie pogodzić się z istniejącym dziś wszędzie prawie stanem rzeczy, w którym oni sami nie bardzo kwapią się do tych występów?

Sprawą tą zajęło się ostatnio radjo niemieckie i doszło do wniosku, że o ile audycje radjowe mają być odzwierciedleniem życia, nie może w nich braknąć głosów ludzi, którzy tworzą sztukę, o tem zaś, jak tworzą, nie powinien nam opowiadać ktoś trzeci, lecz sami twórcy. Wadliwości dykcji i inne ujemne strony tego rodzaju audycyj dadzą się łatwo usunąć ćwiczeniem i wprawą.

Niemieckie radjo rozpoczęło zatem akcję pozyskiwania dla mikrofonu „ludzi istotnie powołanych spośród wielkiej armji artystów", lecz wyniki tej akcji, o ile chodzi o literatów, okazały się narazie bardzo skromne. Oto w przeciągu kwartału pozyskano dla radja 401 aktorów, 116 śpiewaków, 441 muzyków i solistów, 95 reżyserów, lecz tylko 56 autorów.

Czy niechęć ludzi pióra do zabierania głosu w radjo jest uzasadniona? Jedno z czasopism niemieckich, „Der Deutsche Rundfunk", apeluje do pisarzy, by wyzbyli się tej niechęci:

Czyż trudniej jest przed mikrofonem mówić, niż grać lub śpiewać?... Mówi się, że niewielu jest pisarzy, którzy sami mogliby recytować swe utwory, względnie opowiedzieć coś słuchaczom. To nieprawda: bo jeśli znajdą się oni w swojem gronie, robią to spewnością bardzo dobrze. Nie trzeba im tylko wmawiać, lub nawet żądać od nich, by mówili przed mikrofonem do sześciu milj. ludzi. Po pierwsze — to pomyłka, bo prelegent radjowy mówi zawsze do jednego człowieka, względnie do kilku ludzi, którzy skupiają się przy głośniku, a po drugie: prelegent powinien mówić właśnie do tych słuchaczy, którym, jak sądzi, może coś dać ze siebie. Jednakże cały ogół powinien oczywiście mieć prawo przysłuchiwania się jego słowom.

Sztuka opowiadania przed mikrofonem jest rzeczą trudną. Od człowieka, który bardzo nawet dobrze umie opowiadać, nie można żądać, by zaimprowizował jakąś pogadankę w oznaczonej chwili. Konieczne jest pewne przygotowanie. Jeżeli jednak prelegent pogadankę tę w całości przygotuje sobie przy biurku i w tej formie ją wygłosi, będzie to list, szkic, referat, lecz nigdy — opowiadanie. By pogadanka była żywa, naturalna, przygotowanie ograniczyć się winno do zaznaczania w skrypcie tylko najważniejszych punktów, niejako dyspozycji, a resztę my te wypełnić należy aż przed mikrofonem.

Społeczeństwo chce wiedzieć, kim są jego poeci i myśliciele i co mu mają do powiedzenia — oświadcza organ niemieckiej radjofonji, wypowiadając się zdecydowanie za jak najczęstszem występowaniem literatów przed mikrofonem.

Radjo niemieckie stara się pozatem dawać pisarzom inne pola do rozwinięcia działalności. Kierownik działu słuchiwsk, O. Jahn zwrócił się do świata literackiego z prośbą o jak najżywszą współpracę w dziale teatru wyobraźni. — Chodzi tu tylko — oświadczył — o zaznajomienie się z właściwościami i możliwościami mikrofonu. Nie uważam, aby to była jakaś szczególna tajemnica. W ramach radja może się doskonale wypowiedzieć bardzo wielu poetów i dramaturgów, znajdując w słuchowisku nową formę artystyczną o pierwszorzędnem znaczeniu.

Jakie echo wzbudzą te apele? Poczekajmy kilka miesięcy na nową statystykę niemieckiego radja, a dowiemy się, ilu „ludzi pióra" stało się „ludźmi radja".



Orka

Muzeum rosyjskiej sztuki religijnej

Słynne muzeum Watykańskie powiększyło się obecnie o cenny zbiór obrazów i rysunków, ilustrujących ortodoksyjną sztukę kościelną i architekturalną w Rosji.

Zbiór ten jest dziełem znanego malarza rosyjskiego, Braiłowskiego, który był przed rewolucją profesorem Wyższej Szkoły budowniczej w Moskwie i Akademji Sztuk pięknych w Petersburgu.

Braiłowskij, po wyjeździe ze Sowietów, opierając się na własnych obserwacjach i szkicach, oraz na materjale częściowo dostarczonym mu przez osoby postronne, częściowo zaś zebranym z rozmaitych publikacyj, fotografji i dokumentów, — odtworzył w ciągu pięciu lat wytężonej pracy wszystkie ciekawsze i cenniejsze dzieła sztuki kościelnej, jakie za rządów bolszewickich uległy zniszczeniu.

Kolekcja jego obrazów w ilości 140 sztuk obejmuje wierne reproduckje starych mozaik, fresków, ikon oraz kościołów i cerkwi i przedstawia ogromną wartość dla historyka rosyjskiej sztuki kościelnej.

Toteż Ojciec Św., oceniając należycie znaczenie tego zbioru, wyznaczył na pomieszczenie tegoż pięć sal w Muzeum Watykańskiem. Uroczystego otwarcia tego nowego muzeum dokonał dnia 14 lutego br. kardynał Pacelli.

Dodać trzeba, że obrazy i rysunki Braiłowskiego, poza swą wielką wartością dokumentarną, posiadają wysokie walory artystyczne. Braiłowskij nie ustaje w pracy, zamierzając zbiór swój jeszcze wydatnie rozszerzyć i uzupełnić.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

M	A	G	A	S	A	D	R	A
B	A	N	U	K	T	A	D	A
M	A	R	T	A	L	I	D	Z
K	L	E	B	O	R	R	A	T
J	E	R	U	R	A	U	K	A
S	K	O	O	N	Y	B	I	A
A	M	B	I	S	T	P	S	Y
S	T	R	I	A	L	E	M	I
P	A	N	G	R	A	R	O	W

Z powyższych kwadracików należy ułożyć jeden duży kwadrat, tak, by powstało dziewięć wyrazów, czytanych poziomo.

Środkowe litery tych wyrazów, czytane kolejno poziomo, dadzą rozwiązanie.

* * *

Cykl szaradowy: „Kobieta“

Napisał „John Ly“

12. SZARADA

Raczej **raz-piątej** jadowitej palec
włożyć do paszczy — albo ciałem nagiem
na **siódme-szóste** usiąść, niż zuchwale,
z gołym językiem tylko — mieć odwagę
pójść na refleksje o **trzeciej i wtórej**,
raz-druga-trzecia!
Stało się! Jam poszedł...
A gdym w nieswoje wetknął swe trzy grosze,
wiem, że niejedną ściągnę na się burę...
W każdym wypadku, w każdej **czwartej-drugiej**
wiernego, panie, macie we mnie sługę,
co was o względy i prosi i **sześć-pięć**,
co za największe uważałby z nieszczęść,
gdyby je stracił...
Ale wiem, królowo,
że **siedem-osiem** dobrą... nałogowo.
Stało się! Gdym twe względy „**przeszaradził**“,
to zwróć mi **siódme**, bom swą winę zgładził
tą ostatnią szaradą...
Spójrz w nią blisko
i usłysz: mimo wszystko wołam:
„**Wszystko!**“

* * *

W obronie kobiet

(ułożyła Helena Mokrzycka, Drohobycz)

Szanowny Panie „John Ly“, szaradzisto,
czemuż przysiągłeś nienawiść wieczystą
biednym niewiastom? Cóż Ci uczyniły,
że Ci niewieści ród tak jest niemiły?
Pewnie Cię która zwiodła, miły Panie...
brzydko zrobiła, — szczerze jej to ganię,
lecz ta **raz-druga-trzecia** nie przystoi!
Mężczyzna gorszy: ustawicznie broi...
Pięć-szóste-siódme-ósme, białe kwiecie,
niewdzięcznym mężom umilają życie.
Czy **wspak raz-czwarta**, czy Zofja, czy Jula,
jest domowego kapłanką ogniska,
do **sześć-pierwszego** dzieciątko przytula,
każdej niedoli i zmartwieniu bliska.
Ona **czwór-piąty-pół szósty** kupuje,
ciągle się krząta, śniadanie gotuje,
zajęta ciągle, od wczesnego ranka:
tu dziecku **trzeciej-ósmej** filiżanka,
tu znów dla domu „**siódmej-ósmej**“ trzeba
na drogę trochę wędlin, sera, chleba,
bo dzisiaj **piąto-** i **szósto** na świecie,
więc mąż na **szóste-ósme** idzie przecie!
O dom swój dbała więcej, niż o siebie,
nawet za — **wtóry** uprawia w potrzebie
i nieraz **siódme i ósme** pohańców
odważnie mieczem strącała ze szańców.

* * *

Arytmograf

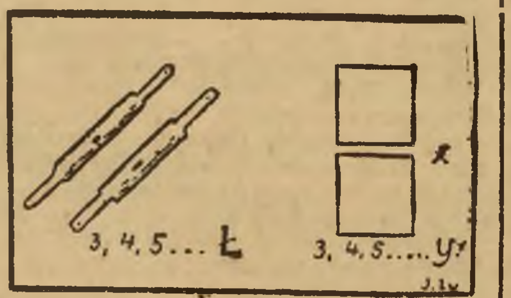
(ułożył „Eugene“)

1, 8, 4, 6 = miasteczko nad Czeremoszem.
2, 7, 5, 11 = rzeka w Wielkopolsce.
3, 2, 4, 11 = przypisek, uwaga.
4, 8, 10, 11 = drzewo.
5, 8, 3, 2 = wełna owcza.
6, 2, 5, 1 = miasto w śr. Anglji.
7, 11, 9, 11 = gospodarz góralski.
8, 5, 11, 3 = planeta.
9, 6, 3, 1 = metal.
10, 2, 4, 11 = litera grecka.
11, 5, 3, 2 = rzeka we Włoszech.
1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11 = ?

* * *

Żarcik rebusowy

(ułożył „John Ly“)



* * *

Szaradki

(Ułożyła „Arja“)

I.

Każdy **wspak pierwszy**, kto **pierwszy** otrzyma —
(naprzykład koszyk **drugich** smakowitych —)
lub gdy ma ze **wspak drugich** plon obfity,
a na sumieniu żadnych **drugich** niema!...
Cały uczony mąż sławy najszerszej,
(choć większą ten ma, co odkrył **wspak pierwszy**).

II.

O ile możesz, **raz-trzy** tylko w domu
i nie **trzy** nigdy w obce **drugie-czwarte**
swego żołądka!... Bo rzeczą wiadomą,
że tylko w domu **raz-drugie** coś warte...
Więc **Pierwszy-czwarty**, Pawle czy Jakóbie!
Omijaj obce **całe**, gdyś... po ślubie!...

* * *

Szarada

(Uł. A. S.)

Długo trwają narady, pośród uczonych grona;
czy mądra pani „**czwór-dwa**“ także tam zaproszona?
Znudziła się snać stara, „**trzecia-czwarta i piąta**“
Komisja, jak ją zmienić, głowy sobie zaprząta.
Oj, nawarzą nam, **trzy-dwa**“, jeśli „**raz-dwa** nastanie,
dla starych, takie zmiany, niełatwe to zadanie.
Lecz nie warto się trapić, przyszłość wkrótce pokaże
jaką będzie ta „**cała**“, którą niosą nam w darze.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa, 3. kwietnia br.**

Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

* * *

Nowy cykl szaradowy

W przyszłym tygodniu rozpoczniemy druk nowego cyklu szarad, pióra znanej warszawskiej szaradzistki „Junony“, — której poprzedni cykl spotkał się z tak żywem zainteresowaniem i życzliwem przyjęciem naszych Czytelników.

Nowy cykl „Mężczyzna“ obejmuje ogółem sześć szarad, które zamieszczać będziemy w odstępach tygodniowych. Zwracamy uwagę, że rozwiązania wszystkich tych sześciu szarad należy nadesłać razem dopiero po ukończeniu druku całego cyklu. Czytelnicy nasi zechcą zatem poszczególne szarady zbierać i przechowywać aż do pojawienia się ostatniej.

Za rozwiązanie całego cyklu wyznaczamy osobną nagrodę książkową, z dedykacją Autorki.

REDAKCJA

Rozwiązania z nr. 68

Konikówka:

Poeta w narodzie ma urząd kapłana, gdy mu sumienie każe, powinien z odwagą gromić ziomków i prawdę powiadać im nagą.

Szarada 9: In-tel-lek-tu-a-list-ka.

Szarada (A. S.): Rozrywki umysłowe.

Łamigłówka: Azory, Nepal, Ordon, Jokaj, uszko, niuch = Junona, John Ly.

Szarada (H. M.): Panowie.

Eliminatka: Kuś, rozum, damy, pozy, kup, ziem, klucz, mowa. = Środa popielcowa. (Klucz: muzyk).

* * *

ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

ze Lwowa pp. Arja, M. Ruxerówna, Br. Ostrowski, „Jankor“, Eug. Dworski, A. Sołtysikowa, Sigma, Wład. G., Ir-ka, Andulka, Wanda Wolańska, M. Szydłowska, Hel. Kowalska, J. Kwiczoł, Roman H., E. Boczarska, „Tato Krzysia“, Tad. Wilczyński, „Eugene“, Stan. Krzywobłocka, Wanda Smolicka, Michał Łesiuk.

z Warszawy pp. J. Alis, B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona“, R. Klimczak, Cz. Kozłowski, N. K. Kozłowski, N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka“, W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp. M. Raczkowska (Niżankowice), E. A. (Otynja), Kazim. Jurkiewicz (Śniatyn), Tad. Dworski (Sanok), M. Potocka (Sanok), Ks. Józef Welc (Kraków), Irena Senze (Żychlin), M. Alexandrowicz (Delatyn), Cz. Murczyński (Kraków), Olga (Jarosław), „Tom“ (Rzeszów), Ir. Wilkowa (Rzeszów).

Nagrodę uzyskała **p. Marja Raczkowska, Niżankowice.** Książkę wysyłamy.

* * *

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Jankor. Rozwiązanie otrzymaliśmy, w wykazie opuszczone przez nieuwagę zecera. Można oddawać w kantorze.

E. D. Dziękujemy, pójdzie w odpowiednim czasie.

M. A. Czekamy dopełnienia zapowiedzi.

„Tom“. Rebusiki częściowo zamieścimy.

St. Krz. Wina zecera, który opuścił nazwisko. Za konikówkę dziękujemy, pójdzie wkrótce.

Eugene. Dzięki. Jedno dziś idzie.

W. Bąka „Brzemię niebieskie“

Przyznanie nagrody „Wiadomości Literackich“ Wojciechowi Bąkowi za jego tomik poezyj „Brzemię niebieskie“ wywołało w prasie dość żywą polemikę i liczne komentarze. Już ze względu na znaczenie tej nagrody, mającej być niejako wyrazem opinji niezależnej grupy ludzi, nie mających nic wspólnego z oficjalnymi augurami i nagrodami „rządowemi“, z których redakcja „Wiadomości“ tak chętnie i często sobie pokpiwała. Miała ta nagroda — w pojęciu ogółu — być niemal objawieniem: oto odkryliśmy talent wielki, olbrzymi, oryginalny, dotąd niesłusznie zapoznawany przez zaprzysiężonych oficjalnych speców!

I w rezultacie nagrodę dostał — Wojciech Bąk. Poeta dotąd naprawdę nieznany, — za jedyny tomik swych wierszy. Zapewne nie można oceniać wartości i talentu na wagę wydanych już tomów. Czy jednak „Brzemię niebieskie“ naprawdę pasuje autora na najwybitniejszego pisarza, zasługującego na takie — bądźcobądź wyjątkowe — odznaczenie?

* * *

Charakterystyczną cechą jego utworów jest nuta ukochania i wczucia się w przyrodę, nuta niemal panteistyczna. Weźmy taki np. utwór:

Zamiast medali i orderów
wystarczą strony świata cztery —
na prawo las, na lewo staw,
u góry lniana łąka chmur,
u dołu zielne niebo traw.
A może jeszcze wodny chór,
żaby rozplotkowane w stawie —
i śpiewak wiejski — rudy kur,
wsi sedno — złotem pianiem krwawe;
i może jeszcze pies kudłaty —
policjant sielankowy chat,
i zimny krowi pysk łaciaty
patrzący jak z zaświata w świat;
i może jeszcze dym z komina —
chorągiew biedy i mozołu...

Są w tym zbiorze rzeczy zupełnie dojrzałe, gdzie bogactwo obrazowania idzie w parze z dźwięcznością i śpiewnością mowy. Są rzeczy piękne w swej prostocie, takie szczere i bezpośrednie, jak „Wiersz o Polsce“:

nie rozumiem, przyjacielu miły, czemu
krzyczysz: Polska — wielka rzecz,
deklinujesz: „Polska, Polski, Polsce“...
...a patrz: przecież jest prosta —
nie wiem, czy jest małą, czy też wielką rzeczą;
wiem tylko — codzienna i konieczna
jak powietrze!...
Wiem tylko — nieodzowna, a prosta jak chleb,
na który codzień trzeba zarobić na nowo!

Obok tych jednak znajdujemy wiersze, pisane niedbale, jakby od niechcenia. Znajdujemy lekceważenie zasad metryki i rymu. A gorzej jest, gdy autor z zuchwałą nonszalancją rozprawia się z Bogiem, jak w wierszu „Ojcze nasz“:

Panie! Nie ugnę się pod modlitwą, co jak rana boli,
nie wypowiem sercem nazbyt ludzkiem:
Jeśli tego trzeba przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja,
jako na ziemi i na niebie,
nawet wbrew mej woli!“

A już tego rodzaju utwory jak „Szewc w zaświatach“ czy „Ksiądz wikary“ świadczą wymownie o antyreligijnem, jeśli nie amoralnem nastawieniu psychicznem Bąka.

* * *

I kto wie, czy właśnie nie te utwory zadecydowały o przyznaniu Bąkowi nagrody „Wiadomości Lit.“, których redakcja nie tai swej gorącej sympatji do haseł wolnomyślicieli i poglądów, wypowiadanych na łamach tego pisma przez Boya, Krzywicką e tutti quanti...

Może się mylę. Ale jest rzeczą ciekawą, że wybór padł właśnie na „Brzemię niebieskie“, dzieło młodego, bezwątpienia zdolnego, poety, — ale nie wybijające się niczem szczególnem ponad przeciętność. Takich i podobnych tomików poezyj pojawia się co roku kilkadziesiąt. A znalazłyby się wśród nich napewno i lepsze. *(kr.)*

Z postępów techniki radjowej

Triody — lampy olbrzymy

O szybkim i olbrzymim rozwoju radjofonji najwymowniej świadczy fakt że obecnie funkcjonuje już około 120 silnych radjostacyj nadawczych, a więc blisko dziesięć razy więcej, niż przed dziesięciu laty.

I wszystkie prawie państwa przebudowują swą radjofonję: zamiast radjostacyj o mocy kilku czy kilkunastu KW. buduje się nowe stacje, o mocy najmniej 100 KW.

Ma to swoje uzasadnione zupełnie powody. Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę, że radjo jest nieocenionym instrumentem propagandy kulturalnej, międzynarodowej, że znacznie skuteczniej przyczynić się może do wzajemnego lepszego poznania się i zbliżenia, niż wszelkie odczyty, podróże, wystawy a nawet prasa. Ma miljony słuchaczy, trafia do nich bezpośrednio, żywem słowem, czy muzyką lub śpiewem.

O wielkiem znaczeniu radja w dziedzinie politycznej mogłyby dużo powiedzieć Sowiety, które też oddawna już wyposażyły swą moskiewską stację w moc 500 KW.

W tej międzynarodowej konkurencji wszystkie wysiłki idą w kierunku powiększenia mocy radjostacyj, tak aby mogła ogarnąć jaknajwiększy zasięg i nie dała się zagłuszyć innym stacjom o podobnej długości fali.

Mamy tu już do zanotowania cały szereg inowacyj i ulepszeń. A więc: nowy typ anten - masztów, co w znacznej mierze usuwa tak niepożądany „fading". Dalej anteny obracalne, podobne do reflektorów, kierowane w miarę potrzeby w tę czy w inną stronę.

Zauważono też, że przy zwyczajnem, normalnem uziemieniu, siła stacji nadawczej nieznacznie, lecz ustawicznie stopniowo się zmniejsza. Daje się to usunąć przez wpuszczenie drutów nie wprost do ziemi, lecz na dno bieżącej wody. Z tego powodu istnieje tendencja budowania nowych stacyj nad brzegami rzek.

Najważniejszym jednak elementem jest lampa, trioda, grająca w radjostacji analogiczną rolę, jak np. komórka fotoelektryczna w telewizji. Lampa ta, wynik długoletnich doświadczeń i poszukiwań Edisona, Fleminga i Lee de Foresta, była jeszcze w roku 1914 rzadką osobliwością, znaną tylko w laboratorjach. W ciągu wojny uległa ona znacznym ulepszeniom i przez szereg lat stanowiła jedyny typ lampy nadającej się zarówno do emisji jak i do odbioru.

Typ ten wystarczał w zupełności dla stacyj o niewielkiej stosunkowo mocy, — okazał się jednak niewystarczającym przy bardzo silnych stacjach: pod wpływem zbyt silnego rozgrzania wywiązywały się gazy, powodujące intenzywną jonizację, co uniemożliwiało emisję.

Zaradzono temu w ten sposób, iż triody umieszcza się w cylindrze metalowym, przez który krąży ustawicznie woda, oziębiając samą lampę. Praktyczniejszem też okazało się stosowanie kilku lamp słabszych, zmontowanych równolegle, zamiast jednej mocniejszej.

O olbrzymich postępach techniki w tej dziedzinie świadczy fakt, że np. znana firma *„Telefunken"* wyrabia triody dochodzące wzrostu dorosłego człowieka (1.70 mtr.), o mocy 300 KW., a *„Philips"* nawet o mocy 460 KW.

Imponująco, a niesamowicie wygląda taka radjostacja z całym arsenałem lamp i amplikatorów. Prawdziwa kuchnia alchemika, w której płyną tajemnicze dźwięki, by na falach eteru dotrzeć do najdalszych zakątków, niosąc wiadomości i dając świadectwo wytrwałej pracy i pomysłowości człowieka...

(R.)

Fala i programy

Wprawdzie dalej sroży się kryzys i czasy dla handlu są raczej niekorzystne, jednak życie potoczne tak jest przesiąknięte porównaniami i przykładami zaczerpniętemi właśnie z tej dziedziny, że i do tego artykułu wkradła się jedna z podobnych analogji.

Jest faktem znanym, że jeśli jakieś przedsiębiorstwo jest **„dobrze prowadzone"**, ma stałą klientelę, dobrze prosperuje, jednem słowem jeśli ma wyrobioną opinję i — jak się to mówi — **dobrą markę,** to wnet znajdują się spekulanci, którzy pocichu wykupują akcje tej firmy, owładają nią i w końcu całkiem ją rugują z zajmowanego lokalu. Miejsce to naturalnie zajmują sami, a publiczności — dobrze się nie orjentującej w zaszłych zmianach — oferują towar jeśli nie **bez wartości,** to w każdym razie grubo gorszy, niż trzymany przez poprzedników. I właściwie cała ich kalkulacja opiera się jedynie na wyrobionej dobrej opinji tychże **poprzedników.**

Przenieśmy się teraz na grunt mniej, a nawet wcale niestały, bo w eter. I tu wśród fal radjowych jest pewna konkurencja czy emulacja, chęć osiągnięcia jak największej ilości słuchaczy. Współzawodniczą zwykle audycje pokrewnego typu. Z lwowską **„Wesołą Falą"** walczyła o pierwszeństwo warszawska **„Loża Szyderców".** I obie audycje z walki tej wychodziły zwycięsko: Warszawa w sobotę dawała lekki, pikantny, musujący dowcip i trochę mniej cenzuralne piosenki, w niedzielę zaś płynął ze Lwowa zdrowy humor, młody śmiech i — **„...serdeczne junactwo kresowego temperamentu".**

Ale... „Loża Szyderców" jako audycja stołeczna, pozazdrościła Wesołej Fali nobliwego miejsca w ogólnym programie. Jakto? Więc w niedzielę ma słuchaczy zabawiać Lwów, a nie Warszawa? No i obecnie Wesoła Fala tylko dwa razy na miesiąc ma do swej dyspozycji niedzielę, a dwa razy sobotę: Loża Szyderców zdobyła **pierwszy** bastjon.

Na tej zamianie jednak — bądźmy szczerzy — Loża nie zrobiła dobrego interesu. Poprostu nadawana o niezbyt późnej wieczornej godzinie, zatraca swój charakter: staje się mdła, bezbarwna, **nijaka.** Brak jej własnego, wyraźnego oblicza, a w cudzych piórkach jej nie do twarzy. Zaś to, czem „obdarzyła" słuchaczy w czasie swej pierwszej niedzielnej audycji nietylko, że nie miało żadnej wewnętrznej linji, czy zdecydowanej postawy, ale i humoru tam była znikoma ilość i nienajlepsze wykonanie. Wręcz odczuwało się, iż artystom również sprawiała pewną różnicę wcześniejsza pora i świadomość, że może jeszcze nie wszystkie dzieci grzecznie śpią w swych łóżeczkach.

Jednem słowem — Warszawa się nie popisała.

O „Wesołą Falę" możemy być spokojni. Lwowskie „batiary" wszędzie i zawsze czują się dobrze, nie tracąc humoru. I napewno w sobotę będzie im wtórował śmiech nie mniej szczery i nie mniej serdeczny, niż w niedzielę: kto raz zasmakował w atmosferze lwowskiej audycji, ten jest jej już wierny. A to tembardziej, że „Fala" przeżywa **powtórny okres swego rozkwitu.** Rozpoczął się on już w styczniu, a dalsze jego etapy, to świetna w pomyśle, wykonaniu i opracowaniu **„Podróż tempomobilem w przeszłość".** Jej cztery części wypełniające skolei trzy wieczory niedzielne i jeden sobotni, to prawie nieustanne salwy śmiechu, tempo i werwa, ruch i rozmach. I czy to było w Raju, czy pod Troją, lub w Wersalu, wszędzie lśniły prawdziwe perełki humoru, wszędzie odnajdywaliśmy naszych starych, a jak miłych znajomków zawsze „w formie" i stale uśmiechniętych. Nam też się robiło wesoło i jasno na duszy: są jednak jeszcze ludzie uprawiający pogodną satyrę i śmiech i obdarzający nim swych bliźnich.

Ten **pogodny śmiech,** to jeden z najważniejszych walorów „Wesołej Fali"; lecz nie umią go wywołać quasi-pikantne (a w rzeczywistości arcynudne i również stare) rady w stylu „Jak postępować w miłości". Słuszniej więc będzie, jeśli **„Loża Szyderców"** utrzyma się w swym poprzednim stylu, nie kusząc się o wyrugowanie Lwowa z serc słuchaczy. Jest to — zdaje się — nie do przeprowadzenia.

Wywody moje **są** jedynie odzwierciedleniem wyobrażenia, jakie mieć może inteligentny, a pilny słuchacz radja, na podstawie ostatnich przesunięć terminów wesołych audycyj, dokonanych przez centralne, programowe władze **P. R.** Oczywiście — jak wygląda ta sprawa **zakulisowo** — nie wiem, ani nie jestem specjalnie ciekawa. Ale zewnętrzny obraz przedstawia się tak, jak go nakreśliłam. Możliwe że są to pozory; w każdym razie pozory bardzo jaskrawe, których choćby dla ich jaskrawości, należałoby **unikać.**

IRENA NAŁĘCZ.

Kalejdoskop tygodniowy

(PO ZGONIE TRAKTATU WERSALSKIEGO. — ANGIELSKA WHISKY I FLEGMA. — W STANIE TEKSAS TEŻ SPOKOJNI. — PODWÓJNA MOBILIZACJA. — DRESZCZYK I DESZCZYK. — TIULE I ILUZJE. — SPRAWIEDLIWOŚĆ NIERYCHLIWA. — NIE DAJMY POGRZEŚĆ MOWY! — NATCHNIENIE KUPOWANE. — GALA-GRANDA...)

Zmarli: Wersalski traktat z Rozbrojeniem
po długich, ciężkich konferencjach... Źle nie
sądźcie ich, bowiem chcieli światu dobrze...
„Liga Narodów" zaprasza na pogrzeb...

Śmierć nagłą trzecia zadała im Rzesza.
A Europa dziś się tem pociesza,
że to nie było niespodzianką dla niej...
— O! My wiedzieliśmy, że tak się stanie...

I Hitler także słów balsamy sączy:
że teraz właśnie na dobre się skończy
niepokój świata — znikną wojen wizje...
Pokoju będą strzec... pruskie dywizje..

A nim wojenne zagrzmią z Niemiec trąby
not papierowych lecą w Berlin bomby
Anglja li w flegmę zwykłą uzbrojona,
śle do Berlina — jakby nic — Simona.

Twierdzą złośliwi (a gdzie ich dziś niema?!),
że Anglów prędzej nie obieci trema
i swojej flegmy na bok nie odłoża.
aż Niemcy zaczną... zbrojenia na morzu...

Przed forum „Ligi" Francuzi iść z tem chcą...
Twardszą by siłą czas zagrozić Niemcom!
Kto przez lat tyle pozwalał im broić,
będzie-ż miał siłę, by ich dziś rozbroić?!

Negus się także chce odnieść do „Ligi".
A Włoch powiada, że... szkoda fatygi.
I choć z nich każdy przed wojną się wzdryga,
czują, że armja pewniejsza, niż „Liga".

Dotychczas jakoś nie czulim, że Anglję
układ handlowy łączy z Polską... Nagle
czujem, że jest on sercom naszym bliski,
bo dzięki niemu potaniała... whisky.

Hyperangielska też się u nas flegma
przyjmuje... Sporą jej dozę pan Beck ma...
Świat wokół huczy, jak w ulu i wilczy
kieł się koło nas ostrzy — a on milczy...

Rzekł pan Miedziński: — Kochani rodacy!
Czemu my jedni w całym świecie tacy
spokojni? Serce wam na to odpowie:
bo jest w Alejach Ujazdowskich... Człowiek..

Pardon! Gdzieś w stanie Teksas jest mieścina
bardziej spokojna jeszcze... Zapomina
tak beztroskliwie o grozach światowych,
że aż urządza sobie „dzień teściowych".

A jest ktoś nawet, co z zachwytem wita
ten krok Hitlera: narodów elita —
żydzi... Radością duma się ich karmi,
że nie wyrzucą ich z niemieckiej armji...

Błądzi, kto psioczy na naszą stagnację.
Ot — były naraz dwie mobilizacje:
imieninowa i druga sejmowa
posłów bebeckich... Coś się widać knowa.

Co? gdzie — jak — kiedy? Posłowie się głowią,
z dreszczykiem w ostrem trwając pogotowiu.
Porządek obrad od mnóstwa spraw trzeszczy
i nieustanie mży... „podatków deszczyk".

Także umowę handlową z Niemcami
Sejm przyjął... Nią to rynek nasz się mami.
Za nasze gęsi i żywność wogóle
możem brać od nich... perfumy i tiule...

Ach! I coś jeszcze: „iluzje z jedwabiu..."
Na tych to nas już niechybnie oszwabią.
A najdotkliwiej oraz najdoraźniej
odpokutujem... iluzję przyjaźni.

Z przyjaźni dla nas Niemcy się łakomią
na byt polskiego gimnazjum w Bytomiu.
Praw mu nie dają — jak brzmią stamtąd wieści...
A u nas szkoły niemieckie się pieści...

Sejm swą kadencję kończy już niebawem,
A Sąd Najwyższy teraz właśnie sprawę
rusza protestów, by był dowód żywy,
że „sprawiedliwy jest, choć nierychliwy..."

„Wszyscy winni urzędnicy!..." Proszę?
A tak państwowo dobrani... Poskoszą...
mieli ludności dać i przedsmak nieba...
(By umieć dobrać — dobranym być trzeba...)

W sprawie katedry Sobieskiego wnosi
Uniwersytet, aby jej nie znosić...
A za rezultat można ręczyć prawie,
jeżeli wie się, co tam „piszczy w trawie"...

Ortograficzni nasi konsulenci
coś knują — coś się złego od nich święci,
aż lęk ogarnia coraz szersze koła
i już na alarm niejeden głos woła...

Słusznie! Bo twarda nasza rzeczywistość
tak nas z wszystkiego wygala na czysto,
że choć ten jeden skarb nasz narodowy
skryjmy, nie dając swoim „pogrześć mowy..."

I z „Jeszcze Polska..." też kontenci nie są...
Stąd „Porannego" jest konkurs „Expressu"
na nowy hymnu tekst... Znów ktoś się sławą
okryje... Jednak... timeo Danaos...

Dawniej tworzyła pieśń szczere natchnienie,
dziś się natchnionym jest na zamówienie...
Wkrótce mieć będziem już marszałkowski,
co go funduje „Ktoś nieznany" lwowski...

Chciał nasz „Poranniak" chudy schab ogłoszeń
w imieninowym żarze przypiec troszę
na tłustą pieczeń i — brzydko się sparzył.
(Czasem los zakpi z ideo-grandziarzy...)

LYJON

Z wędrówki po Czechosłowacji

Zamki Orawskie

Bliskie sąsiedztwo Czechosłowacji i ułatwienia Towarzystwa Tatrzańskiego sprawiają, że na odcinkach naszych południowych łańcuchów górskich często jako jednodniowi wycieczkowcy przekraczamy granicę, by napić się węgierskiego wina, zwiedzić najbliżej pasa granicznego położone okolice i odetchnąć zmianą. Za taką przepustką wyjechała kiedyś spora gromadka młodzieży gimnazjalnej i starszych przez Nowy Targ, Czarny Dunajec i Suchą Horę do Zamków Orawskich na linji Sucha Hora — Kralowany.

Droga początkowo koło Nowego Targu piękna, cały łańcuch naszych Tatr z Giewontem, Zawratem, Świnicą i czeskich szczytów z Hodżem na czele sterczy dumnie ku niebu. Droga wije się wzdłuż nich i nic nie nuży. Im dalej na południe ku Czarnemu Dunajcowi, teren krajobrazu staje się jednostajniejszym. Smętne pola i ugory, wycięte lasy, łąki torfiaste. Pod samym Czarnym Dunajcem znajdują się wsie Wróblówka, Witów, Dzianisz, słynne z chowu koni. Górale hodują rasę podhalańską i karmią swoje konie mlekiem i mięsem. Na przednowku góral sam z rodziną nie będzie dojadał, ale nie ujmie ukochanym zwierzętom potrzebnego pokarmu. To też sierść bachmatów podhalańskich słynie jedwabistością, choć nazwa jednej wsi „Głodówka", wskazuje na skąpe warunki bytu.

Od Suchej Hory zaczyna się Czechosłowacja. Wsiadamy do żwawej motorówki, która nas unosi do Orawskich Zamków. Dolina Orawy, to Pieniny Czechosłowacji. Z szumem wśród ciemnych ścian boru wije się górska rzeka wokoło rozciągają się zielone równie, soczyste, bogate i bujne.

Przyjeżdżamy. Miasteczko nie miasteczko: hotel i Utulnia (schronisko), gorsze niż nasze na Luboniu i Wierchach. Narazie są przepełnione. Udaje się jednak znaleźć nienajgorsze pomieszczenie, a kolacja złożona z przywiezionych zapasów i oblana winkiem węgierskiem usposabia znakomicie do snu. To też większość wycieczkowców na tem kończy dzienną mordęgę, a tylko nieliczni romantycy udają się na poszukiwanie wrażeń. Oko i wyobraźnię nęci pyszny zamek sterczący na złomie skalnym, niby orle gniazdo, zapomniane tam przez wieki i pokolenia. Pierwotną część zamku stawiali Templarjusze w XIII. w. Na początku XVII w. był hr. Vurzo jedynym jego właścicielem. Siedem córek wydał za magnatów węgierskich, a że nie miał syna, Zamek i ogromne włości przeszły na t. zw. „Komposesorat", którego zawsze jeden z rodowych spokrewnionych magnatów jest dyrektorem. Przed przewrotem wojennym należał Zamek do 62 rodzin, rząd Czeskosłowacki wykupuje od nich Zamek i tylko 5 rodzin pozostaje jeszcze do eksmitowania drogą polubowną, między niemi ród Esterhazych, Erdödy'ch, Zichy'ch itd. Słynne zbiory Zamku rozpoczął Edmund Zichy. Wprawdzie większość świetnych zbroic zabrali Moskale z Paszkiewiczem w r. 48(a co pozostało, to hełmy, tarcze, kopje i rysztunki przywiezione z Wiednia. Lecz nie w tem urok starego Zamka. Jak zanikły genjusz feudalizmu, wznosi się ponad mieszczańską siedzibą Czechosłowaków, urągając postępom i falowaniom politycznym.

Dla miłośnika fauny zajmującem jest jednak zwiedzenie Muzeum zoologicznego o charakterze wybitnie regjonalnym: stąd przegląd zwierzostanu doliny Orawy: orły, świstaki i sęp zabłąkany, dalej jelenie, dziki, wilki, niedźwiedzie wspaniale wypchane.

Pięknie przedstawia się dział ornitologiczny: gniazda zimorodków, wilgi, dudki, bociany, czaple, dzięcioły, sowy. Apartamenty ulegały różnym przemianom, trudno wyobrazić sobie dziś, jak wyglądały za czasów hr. Vurzo, jedynowładcy. Zachowały się kasetonowe plafony z XVI wieku. Meble datują z epoki Empire'u. Uderza oryginalnie zaznaczona data na oddrzwiach, rok 1483 (czwórka pisana, jak 1/2 ósemki). Niezliczoną ilością krętych korytarzy i schodków docieramy do baszty wiszącej nad przepaścią. Rozległy widok na dolinę Orawy przykuwa oczy, a myśl ulatuje ku onym kasztelankom, które wychylone z framugi okien, z utęsknieniem oczekiwały powrotu z wypraw rycerskich małżonków i braci. Dziś błąka się po tych salach współczesna, krótko ostrzyżona turystka w wiatrówce. Czyby uznały ją za siostrę dostojne panie w robronach średniowiecza?



Zamek Orawa.

Poza Zamkiem miasteczko nic pięknego nie przedstawia. Nawet owoce przysłowiowo tanie w Czechosłowacji zawiodły, — poprzedniego dnia turyści wymiotli co do jednej pomarańcze i jabłka. Pozostało wino — cóż, kiedy do Polski przewieźć go nie wolno.

Piło się więc na miejscu, za dziś i za jutro, za przyjaźń czeskosłowacko-polską i na cześć wyjątkowo pięknej pogody.

Jednem słowem, wycieczka się udała.

Na marginesie wesołości moment poważny, — kapelan gimnazjalny, biorący udział w wycieczce zapowiedział wspólną Mszę św. w dzień powszedni o 8-ej. Wszyscy stawili się, jak jeden mąż, ku wielkiemu zbudowaniu miejscowego proboszcza i całego miasteczka.

C. S.

Z CYKLU: POGADANKI O KULTURZE

Czy należymy do kultury Zachodu ?

Na to zasadnicze pytanie taką daje nam odpowiedź prof. Jaworski: „Przejęci jesteśmy kulturą Zachodu i na niej kształtowaliśmy i kształtujemy nasze myślenie. Należy tylko powiedzieć, że są dwie kultury Zachodu. Jedna z nich — to świat antyczny, wchłonięty i rozwinięty przez chrześcijaństwo aż do renesansu. Druga — to kultura nosząca nazwę nowożytnej „par excelence", która od renesansu przez reformację i rewolucję francuską doszła do bolszewizmu."

„Punkt wyjścia (dla nas) — to zawsze Zachód, ale zachód oparty o świat antyczny i chrześcijaństwo, a nie Zachód mechaniczny, atomistyczny, indywidualistyczny, który żyje wartościami względnemi i zna tylko hipotezy." (Notatki — Kraków 1929).

A więc punktem wyjścia, a zarazem wskazówką orjentacyjną dla nas, jest Zachód oparty o Rzym, reprezentujący kulturę antyczną w połączeniu z chrześcijaństwem, zachowujący związek z Kościołem.

Kiedy w wieku XVI jedne narody Zachodu zerwały z Rzymem katolickim, przechodząc na protestantyzm, a drugie, upojone wielkością władzy świeckiej, poczęły walczyć z Kościołem i doprowadziły wkońcu do rozdziału Kościoła od państwa, — Polska została wierna Rzymowi. Już to samo daje gwarancję, że kultura polska nie sprzeniewierzy się swemu zadaniu. W czasach swego rozkwitu w wieku XVI Polska utrzymywała ścisły związek z Zachodem, zwłaszcza z Italją, która wydawała nam się skarbnicą wszelkiej kultury. Z miast włoskich jednak najwięcej pociągał Polaków Rzym, stolica katolicyzmu i nauki, który uważano za najwłaściwsze miejsce do studjów, bo — jak pisał w końcu wieku XVI Hieronim Baliński — „i nauka tam dobra i disciplina astrictior niż gdzieindziej, k'temu dwór, ludzi znacznych ze wszystkich państw chrześcijańskich concurs et devotio quam alibi major".

„A w innych akademjach, w Padwi, w Bononji, w Senie etc., acz nauka dobra, ale między szlachtą i studenty zawadza się niestatków, k'temu z Niemcy zawsze pospolicie turnieje wszczynają i biją się, i zabijają, a w Rzymie każdemu pokój."

To nam wyjaśnia, dlaczego renesans włoski nie wywarł u nas tak szkodliwego wpływu, jak w Niemczech i we Francji, musnął on nas tylko.

„Całej rozwiązłości renesansowej, jej bestliwości, skrytobójstwa, trucicielstwa, Polska nie zaznała", mówi prof. Brückner. „Dla zbrodni renesansowych nie było miejsca, nawet Bona w Polsce nie dorównywała Katarzynie de Medici w Paryżu, a rad Kalimachowych nikt w Polsce nie stosował: *amoralizm renesansowy pozostał jej obcym*" (podkreślenie moje).

„O zwycięskim pochodzie renesansu u nas można więc rozprawiać tylko z pewnemi zastrzeżeniami. Humanizm, który go wyprzedził, nierównie silniej się zaznaczył; on istotnie surowość średniowieczną, od stylu i życia począwszy, wygładził; Andrzej Modrzewski, Jan Kochanowski, Jan Zamojski, wyobrażali humanizm raczej, niż renesans; nie miasta i dwory zgiełkliwe, lecz cicha wieś i ścisła rodzina nadawały życiu narodowemu rysy właściwe."

Polska stała się przednią strażą Zachodu, nietylko jako przedmurze przeciw islamowi, ale jako pochodnia świata przeciw mrokom Wschodu. „Na Polsce kończyła się Europa", mówi Brückner, „ale naród wcale nie był jej niewolnikiem. Jeżeli jednostki poddawały się zupełnie wpływom obcym, to inni warowali sobie niezależność, czerpali po swojemu ze spólnych źródeł antyku, nadawali własne piętno myślom i czynom."

„Naród pozostał słowiańskim, ze wszelkiemi właściwościami rasy, z wrażliwością, ruchliwością, otwartością i szczerością, z brakiem wytrwałości i przezorności; w najlepszych swoich przedstawicielach imponował taktem, rozwagą głęboką, brakiem fanatyzmu jakiegokolwiek, głębią poczucia sprawiedliwości, lekceważeniem oznak zewnętrznych i wszelkiej próżności". (Tamże, str. 657).

Toteż nawet w czasach upadku naszej kultury, w wieku XVII i XVIII, moralność stała u nas dość wysoko i budziła nieraz podziw u cudzoziemców.

„Trzeba wprost podziwiać łagodność i umiarkowanie szlachty polskiej wobec tego, że ma władzę życia i śmierci nad swymi poddanymi, że nie jest skrępowana żadnemi prawami, a sprawiedliwość bywa tam tak niedbale wymierzana", mówi Bernard O'Connor, lekarz irlandzki na dworze króla Sobieskiego. „Rzecz pewna, że gdyby naszym Anglikom dano trzecią część ich (tj. szlachty polskiej) wolności, toby sami siebie wzajem zabijali".*) Jest to dobra odpowiedź tym, którzy szlachcie naszej zarzucają despotyzm.

Inny znów pisarz XVIII w., ksiądz Coyer, Francuz z otoczenia króla Leszczyńskiego, podnosi łagodność obyczajów naszych. „Podróżni przekonywają się w Polsce", mówi on, „że dobre obyczaje więcej są warte od dobrych praw. Wielkość lasów, odległość mieszkań, zwyczaj podróżowania dniem i nocą, obojętność starostów na bezpieczeństwo traktów — wszystko to sprzyja w Polsce grabieży i mordom, a tymczasem wypadki takie zdarzają się (tam) raz na dziesięć lat."

Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku dwaj wielcy pisarze Zachodu — Voltaire i Rousseau — wywarli ujemny wpływ na obyczaje i kulturę polską. Pierwszy z nich niszczył podstawy dawnego świata chrześcijańskiego, a drugi tworzył podstawy nowego życia, oparte na zasadach liberalnych i bezwyznaniowych. Około tych pisarzy rozgorzała u nas walka ideowa, powstał intensywny ruch literacki i naukowy, groźny dla kultury narodowej, zwłaszcza że miał poparcie z góry, na dworze ostatniego króla naszego, St. Augusta. Ocknięto się nad samą przepaścią, ale to nas nie uratowało już od katastrofy. Wtedy jednak przyszedł Mickiewicz i kultura nasza zajaśniała wspaniałym blaskiem, torując nowe drogi nietylko dla nas, ale i dla Zachodu...

Ks. Dr. Jan Ciemniewski

*) St. Kot: Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej, str. 171.

ŚWIAT KOBIECY

Wiosenne metamorfozy

W magazynach pełno nowości wiosennych. Suknie, kostjumy, płaszcze, pelerynki, bluzki... Ceny nawet nie wygórowane, — „kryzysowe".

Ale wszystkie te cuda dostępne są tylko małej garstce wybranych, a przekraczają możliwości finansowe przeciętnego urzędnika, szarego człowieka, zdanego na szczupłą miesięczną pensję

Nie trzeba jednak rozpaczać, nie trzeba robić tragedyj i scen. Próbujmy radzić sobie same, co przy odrobinie pomysłowości i dobrego smaku nie będzie rzeczą trudną. I dziękujmy obecnej modzie, wyjątkowo liberalnej i dla nas łaskawej, pozwalającej na rozmaite śmiałe pomysły i kombinacje.

A więc: mamy naturalnie choć jedną strojniejszą suknię wieczorową czy balową. Naturalnie czarną (a jeśli nie czarna, to ją poprostu ufarbujemy). Trzeba ją nieco skrócić, ewentualnie obciąć tren. Dodajemy do niej rękawy z białej, nakrapianej czarno organdyny zgrabną riuszkę... i oto mamy już elegancką „nową" suknię wizytową.



Wzór takiej metamorfozy pokazuje nasza rycina z lewej strony. Obok widzimy tak modną dziś „cape" przerobioną z niemodnego już i trochę podniszczonego płaszcza. Cape w kolorze jednolitym harmonizuje zupełnie ze suknią w kratki czy w jakiś deseń.

Pocieszmy się też, iż moda zezwala na kombinację różnych kolorów. Tak np. do zielonej czy niebieskiej sukienki możemy nosić śmiało płaszcz bronzowy, — do popielatej granatowy itp. W takich wypadkach przybranie sukni, buciki, torebka i rękawiczki muszą być w tym samym kolorze co płaszcz.

A wreszcie — koronki, na które znów przychodzi wielka moda. Piękne, staroświeckie koronki są najpiękniejszą ozdobą czarnej sukni (zwłaszcza efektownie wyglądają przy aksamitach). Z resztek koronek robimy żaboty i kołnierzyki. Wygląda to poprostu uroczo, odmładza nas, a równocześnie odświeża całą suknię.

Zwłaszcza popularne są manszety i kołnierzyki koronkowe w stylu Grety Garbo jako królowej Krystyny.

Pozatem pamiętajmy o tem, że obecnie o wyglądzie sukni decydują rękawy. Więc jeśli rękawy przy jakiejś sukni naszej są już zupełnie niemodne, zastępujemy je innemi, bardzo szerokiemi, bufiastemi z białej organdi. Do tego znów riuszka z tego samego materjału — i nowa suknia gotowa!

Jak widać zatem, można sobie samej doskonale radzić, minimalnym kosztem.

Ploteczki o modzie

— Materjały bawełniane przyjmują się coraz powszechniej. Widuje się je w pierwszorzędnych magazynach paryskich. Są praktyczniejsze od takiego np. sztucznego jedwabiu, a prezentują się doskonale.

— Schiaparelli próbuje przywrócić modę zapomnianych zupełnie od paru lat batików. Do ciemnych, skromnych kostjumów proponuje batikowane szaliki, co wnosi bardzo miłą, świeżą i efektowną nutę.

— Nowością są szaliki ze sztywnej tafty w groszki lub grubą kratkę, zawiązane zawadjacko pod brodą, ze sterczącemi na boki końcami.

— Z aksamitu robi się obecnie.. kolczyki. Są to spore kuleczki, zwisające na długim łańcuszku, w rozmaitych żywych kolorach.

— W butonierce wiązanka fiołków, również z czarnego aksamitu.

— Przy żakiecie wiosennym dużo kieszonek, mniejszych lub większych, nierzadko zapinanych na guziczki.

— Bardzo ładną i modną kombinacją jest żakiecik z tafty prążkowanej lub w kratkę do wełnianej spódniczki.

— Do wiosennych dżemprów nosi się żabot podwójny, w dwóch kolorach: wierzchni, jaśniejszy, odpowiada barwie dżempra, — spodni, ciemniejszy, barwie spódniczki.

— Wiosenne płaszcze, o kroju raglanowym, nosi się przeważnie zupełnie luźno, bez paska.

— Mniej sympatyczną jest moda wysokich sztywnych kołnierzy i riuszek w których uwięziona szyja pozbawiona jest tej zupełnej swobody ruchów, do jakiej przywykłyśmy.

— Charakterystyczną cechą wiosennej mody jest znaczne i wyraźne poszerzenie ramion i ogromne, bufiaste rękawy. Przy kostjumach, płaszczach i bluzkach przeważa krój raglanowy.

— Nowością są kołnierze i manszety z jasnej skórki przy ciemnych płaszczach. Przy kostjumach i sukniach paski również skórzane, do tego jeszcze monogram, również ze skórki, zwieszający się na cienkim łańcuszku.

— Kostjumy trzyćwierciowe, z miękkiej wełny, są najmodniejszym ubiorem na wiosnę. Żakiecik nieco krótszy, nie dochodzi do kolan. Rękawy u bluzek zwykle tylko do łokcia, rzadziej trzyćwierciowe. Pod szyją maleńkie wycięcie. Spodniczki u dołu lekko rozszerzone.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Gimnastyka szyi

Podajemy dziś łatwe a dające doskonały wynik ćwiczenia, mające na celu wzmocnienie mięśni szyi, a więc odpowiednie dla kobiet, których szyja jest zanadto chuda, lub skóra na niej zwiotczała.

Ćwiczenia te powinny jednak uprawiać systematycznie i panie, u których zaczyna zarysowywać się drugi podbródek, ten postrach każdej młodej i ładnej kobiety.

Pierwsze ćwiczenie robimy leżąc w łóżku, — nie wymaga ono zatem ani specjalnych przygotowań, ani żadnego wysiłku. Leżąc na wznak podsuwamy poduszkę pod łopatki, tak aby głowa zwisała zupełnie swobodnie, na niczem nie oparta. Zupełnie pomału dźwigamy głowę, aż dosięgniemy brodą piersi, — poczem taksamo powoli opuszczamy ją spowrotem. Ćwiczenie to robimy od sześciu do dziesięciu razy.

Ćwiczenie drugie, wedle metody amerykańskiej, — przyczem nie może się obejść bez... gumy do żucia (chewing - gum). Robi się je w pozycji stojącej. Bierzemy do ust kawałek gumy, poczem z głową odrzuconą możliwie jak najusilniej do tyłu zaczynamy przedniemi zębami mocno i energicznie żuć ową gumę. Przy czynności tej pracują wydatnie mięśnie szyi, a nawet i mięśnie piersiowe. Ćwiczenie to zatem jest polecenia godne również i dla kobiet pragnących posiadać ładny, jędrny biust.

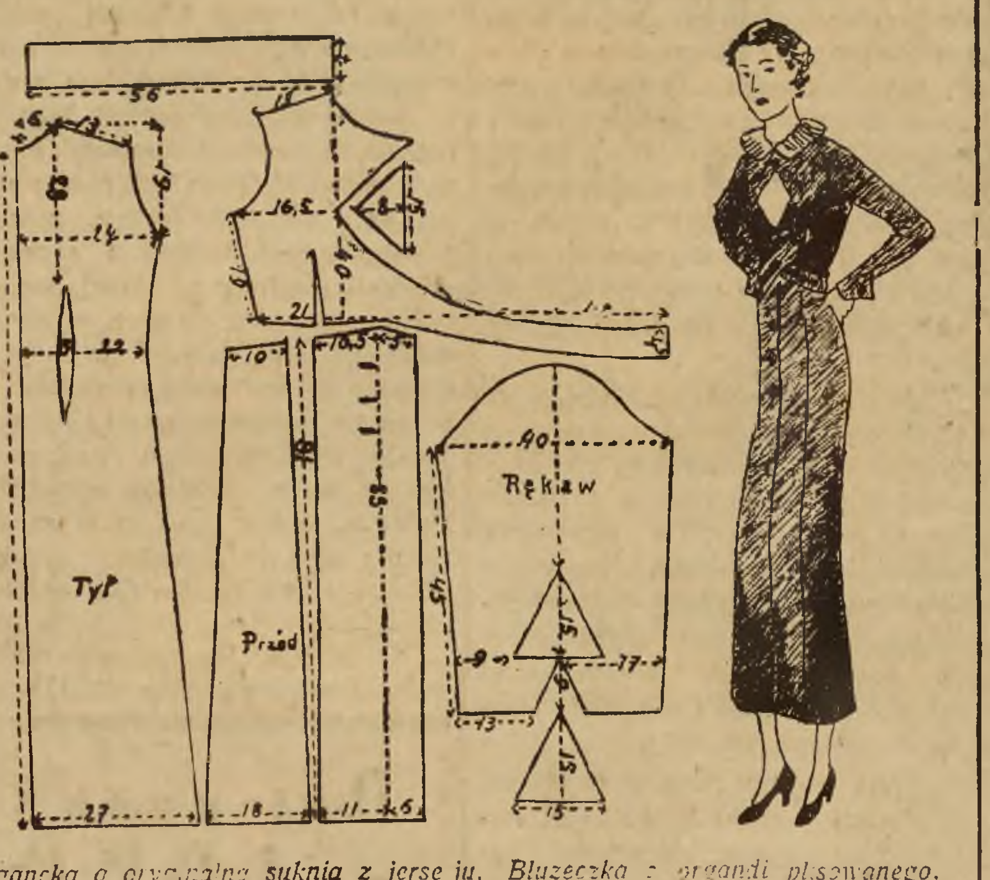
Pielęgnacja cery

Okres przedwiośnia wymaga szczególnie troskliwej pielęgnacji cery, wrażliwej na ustawiczne kaprysy aury i przeskoki temperatury.

Zwłaszcza dotyczy to cery suchej, w okresie tym skłonnej do zmarszczek i łuszczenia się. Trzeba więc na noc, po uprzedniem starannem obmyciu twarzy letnią lub wystałą wodą, nasmarować twarz tłustym kremem.

Robiąc zaś ranny maquillage nie zapominajmy wetrzeć na twarz również nieco dobrego, tłustego kremu, — na który dopiero przychodzi puder.

Ważną też jest rzeczą odpowiednie odżywianie się. Jak najmniej mięsa, — jaknajwięcej jarzyn i owoców surowych poczynając od doskonałych i wysoko wartościowych pomarańcz.



Elegancka a oryginalna suknia z jerseju. Bluzeczka z organdi plisowanego. Końce bluzki zapinane na plecach

Kapelusze wiosenne

Przedewszystkiem jedna uwaga: robi się je albo z bardzo delikatnej słomki, albo... z filcu, albo z kombinacji obu tych materjałów. Bo kiedy w lutym ani słyszeć nie chciałyśmy o filcu, uznając tylko słomkę, — to obecnie — od kwietnia — znowu do niego zaczynamy wracać.

Najlepszem wyjściem będzie chyba łączenie filcu ze słomką, co też praktykuje się na wielką skalę.

Co się tyczy typu kapeluszy wiosennych, — zarysowują się wyraźnie dwie tendencje: albo kapelusik o rondzie podgiętem sprzodu i ztyłu, przypominający jakiś djadem, — albo kapelusz nasunięty głęboko na czoło i ocieniający oczy. Co kto woli.

Ronda mogą być malutkie lub nawet bardzo szerokie, mniej lub więcej podwinięte, to znów opadające na uszy

Słomka tylko bardzo drobna i delikatna, egzotyczna. Są gatunki słomki niemal zupełnie przezroczystej, odpowiedniej zwłaszcza do kapeluszy letnich, o bardzo szerokiem rondzie. Pozatem widzi się kapelusiki z tafty i z faille.

Przybiera się kapelusze piórami, egretkami, kwiatami, wstążkami. Kwiatów nie dużo, dyskretnie. Bardzo ładnie wygląda np. duży czarny kapelusz przybrany białym kwiatem kamelji, lub wiązankę niezapominajek na kapeluszu bronzowym.

Le Monnier ozdabia zgrabne „kanotierki" i bretonki dużą kokardą szkocką, umieszczoną nad czołem.

Czy pan lubi psy?...

Prawnik amerykański T. Graham jest od szeregu lat „specem" od procesów rozwodowych w San Francisko.

Opierając się na swem doświadczeniu z praktyki sądowej, daje on kandydatkom do stanu małżeńskiego oryginalną radę, aby przed zdecydowaniem się na ślub upewniły się, czy wybraniec ich serca... lubi psy.

Zdaniem bowiem Grahama człowiek, nie lubiący psów, nie potrafi przywiązać się ani pokochać prawdziwie żadnej ludzkiej istoty.

Możeby i nasze panie wzięły sobie do serca tę radę... Oczywiście pamiętając o tem, że można lubić psy, — ale niekoniecznie trzymać je w domu — po ślubie.

WŚRÓD WYDAWNICTW

„DZIECKO I MATKA", dwutygodnik poświęcony zdrowiu i wychowaniu dziecka. W nr. 6. znajdujemy dalszy ciąg fachowych uwag na temat higjeny i kosmetyki dziecka, dobry artykuł o „Pracy nad charakterem", wskazówki, jak należy odpowiadać na pytania dziecka, oraz co robić, by dziecko nie „grymasiło" przy jedzeniu. Pozatem modele i kroje.

„TO CO NAJMODNIEJSZE", zeszyt 5. opowiada nam, co przyniesie moda wiosenna, dodając jako objaśnienie cały szereg ładnych i oryginalnych modeli kostjumów, pelerynek, kapeluszy i t. p.

Ładne też są modele porannych negliży i szlafroczków. Co zrobić z balową suknią? — na to, tak aktualne pytanie znajdujemy również odpowiedź. Amatorki srebrnego ekranu zobaczą wreszcie kilka gwiazd filmowych w pięknych najmodniejszych toaletach. Cena 50 groszy.

SREBRO MYJE SIĘ najlepiej w wodzie, do której dodaje się łyżeczkę boraksu.